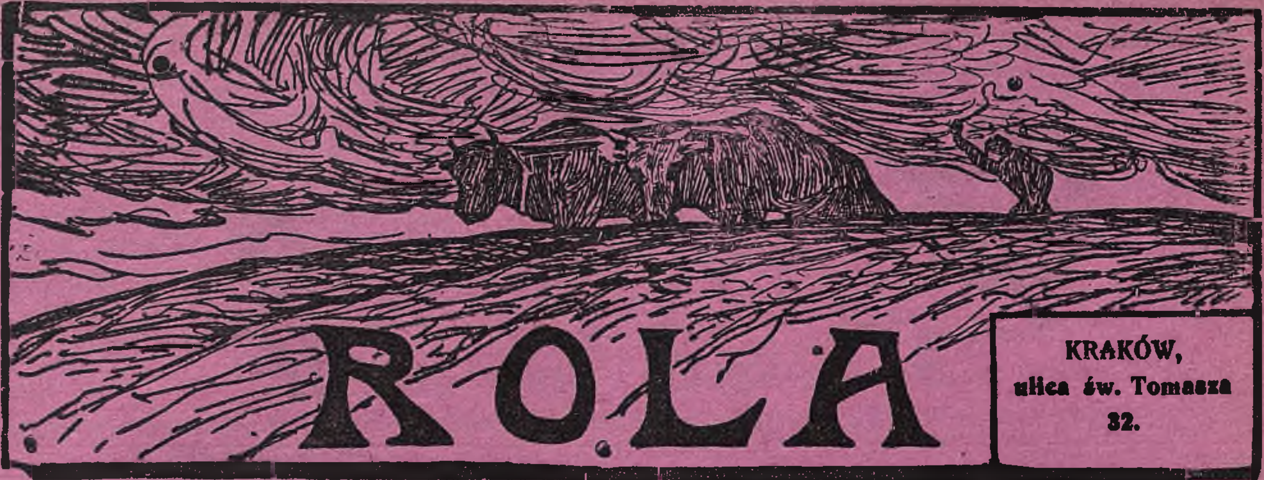
Numer 25 Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 19 Czerwca 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Ostrożna.

— Mamo! Michałom wpadło do studni cielę!

— Masz teraz... a my z tej studni bierzemy wodę! Trzeba będzie przecedzić od wypadku.



W szkole.

— Walek! czemu tak późno przychodzisz do szkoły?

— Proszę pana pre-esora... bo ojciec się bił z matką, a ja czekałem kto wygra!...



U sędziego śledczego.

— Co uczynił samobójca, kiedy go Pan wyciągnął z wody?

— Wyrwał się z moich rąk, pobiegł ku drzewu i powiesił się na niem.

— A dlaczego go Pan nie odciąłeś?

— Myślałem, że powiesił się dlatego, aby wyschnąć.

Przyjemny pułk.

— Wojtek! jak cię wezmą do wojska, to do jakich chciałbyś wstąpić?

— Do tych chciałbym iść co to w niedzielę chodzą z kucharkami.



Bierz, co dają.

— Panie Izydor! Pożycz mi pan 100 złotych.

— Niestety, mam tylko 50.

— Nic nie szkodzi. Daj Pan te 50, a 50 będzie mi Pan winien.

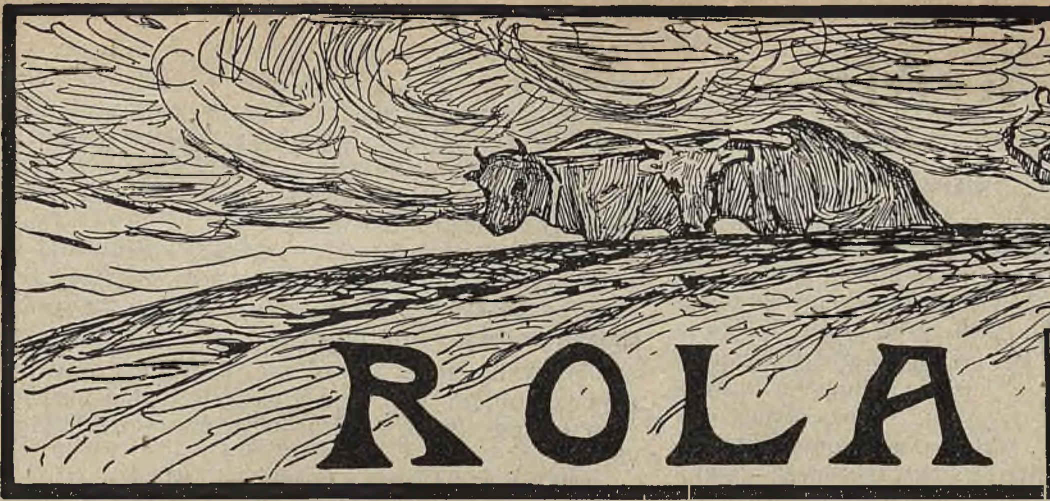


Monarchiści.

— Wiesz, gdy byłem nad morzem, grałem z królem w karty.

— Nic wielkiego! Ja grałem już z czterema królami i jednem asem.

Numer 25. Rok X. Kraków, dnia 19 Czerwca 1927.



Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Uroczystość Bożego Ciała.

Jednem z najmilszych i z największą wspaniałością obchodzonych świąt w Polsce to uroczystość Bożego Ciała. Oczekują jej starzy i młodzi z upragnieniem i cieszą się, kiedy nadejdzie. Dzień ten jest pamiątką ustanowienia Najświętszego Sakramentu i Mszy św. przez Pana Jezusa. Wprawdzie tajemnice te ustanowił Pan Jezus w Wielki Czwartek, ale że w ten dzień Kościół święty zajęty był rozważaniem męki Pana Jezusa, przeto na obchód tak radosnej tajemnicy ustanowił uroczystość Bożego Ciała, a wybrał do tego najprzyjemniejszą porę roku, kiedy wiosna w całej pełni, kiedy ziemia cała pokryta kobiercem różnorodnych kwiatów, tworzących wzorzyste desenie na zieleni pól i łąk.

W dzień ten nietylko święcimy pamiątkę ustanowienia Najświętszego Sakramentu, ale oddajem również w sposób, na jaki nas tylko stać, uroczystą cześć temuż Sakramentowi i Panu pod postacią chleba utajonemu. Bo o to popatrzmy! Kapłan ustrojony w najwspanialsze szaty liturgiczne, otoczony wiernymi również jak najwspanialej ubranymi, ujmuje w dłonie monstrancję, w której znajduje się Najświętszy Sakrament i wyrusza w uroczystym pochodzie, przy dźwiękach pieśni, biciu dzwonów i donośnych tonach muzyki, wyrusza nieraz na dalszą odległość od kościoła, gdzie pobudowano specjalne ołtarze, aby niejako pokazać Boga utajonego w Najświętszym Sakramencie wszystkim, którzy Go dotychczas nie znali, lub o Nim zapomnieli. Bóg prawdziwy daje się w dniu tym widzieć wszystkim bez różnicy wyznania i błogosławi wszystkim, którzy Jego błogosławieństwa potrzebują. Jest szafarzem łask wszelakich.

Jak każda uroczystość kościelna, tak i Boże Ciało posiada swe specjalne obrzędy. Do nich należy we Mszy świętej benedykcja czyli błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem przed Ewangelją a po Epistole. Kapłan znosi z tronu Najświętszy Sakrament, po zwykłem okadzeniu bierze Go do rąk i śpiewa dalszy ciąg czytanych przez siebie a śpiewanych przez chór słów: „Ecce panis Angelorum", co znaczy po polsku: „Oto chleb aniołów stał ię pokarmem podróżnych, prawdziwy chleb niech psom nie będzie rzucony" itd. Po zaśpiewaniu ostatniej zwrotki hymnu udziela kapłan błogosławieństwa wiernym, zebranym w kościele, monstrancję z Najświętszym Sakramentem stawia na tronie i śpiewa dalej Ewangelję, jak zwykle.

Drugim szczególnym obrzędem tej uroczystości jest procesja do ołtarzów, które stroimy po ulicach wsi lub miast. Przy każdym z tych czterech ołtarzy śpiewa się początek Ewangelji czterech Ewangelistów, to jest św. Mateusza, św. Łukasza, św. Marka i św. Jana na oznaczenie, że wszystkie narody powołuje Chrystus do wiary i że wszyscy Ewangeliści zgadzają się z tem, że w Najświętszym Sakramencie dał nam Pan Jezus prawdziwe Ciało i Krew Swoją na pokarm ku żywotowi wiecznemu.

I znowu, gdy procesja wraca od ostatniego ołtarza do kościoła, kapłan śpiewa odpowiednią pieśń po łacinie i w czasie niej udziela błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem. Procesja kończy się hymnem: „Ciebie Boże chwalimy", śpiewanym po łacinie.

Dziś i ta uroczystość, jak zresztą i wiele innych, nie jest tak wspaniale obchodzona, jak dawniej. Praojcowie nasi odbywali ją z nadzwyczajną okazałością. Pozostało po nich wiele przewspaniałych pieśni, choćby wspomieć tylko: „Twoja cześć chwała, nasz wieczny Panie", albo „Zróbcie Mu miejsce, Pan idzie z nieba" itp. Tryska z nich namaszczenie, prostota i jakaś prawdziwa pobożność.

Uroczystość Bożego Ciała ustanowił papież Urban IV w roku 1264, a to wskutek objawienia zakonnicy bł. Johanny z Mont Cornillon. Zaś uroczystą procesję do ołtarzy nakazał papież Jan XXI w roku 1316.

Matka królów.

Powieść historyczna z XV. w.

17. Spisek.

Z wielkim smutkiem i niepokojem dowiedziała się królowa Sonka o postanowionej podróży męża z Lublina do Wilna. Obawiała się mściwego Witolda dla siebie i dla męża. To jedno ją pocieszało, że biskup go nie opuszczał i towarzyszył w podróży. Nie mogąc ścierpieć długiego milczenia, musiała ludzi swych wysyłać, porozsławiać, aby ciągle mieć wiadomości z Wilna. Na dworze Witoldowym miała starych życzliwych, przez których dowiedzieć się mogli jej wysłańcy, co się tam działo.

Chodziła jednak ciągle w gorączce, obawiając się i przeczuwając coś złego. Korona litewska, gdyby była doszła Witolda, zostałaby jej synowi wydartą, ale nad tem czuwał mąż ów żelazny, Oleśnicki, który nie mógł oderwania się Litwy dopuścić.

Co kilka dni przybywał ktoś do Krakowa. Dowiedziano się tu o rozjechaniu się książąt, o chorobie Witolda, a nim Oleśnicki, który przed śmiercią jego z Wilna wyjechał, powrócił do Krakowa, dobiegł tu goniec umyślny, oznajmiając o zgonie przeciwnika.

Mogła królowa odetchnąć swobodniej, ale ogarnął ją jakiś smutek, żal nawet po człowieku, który niegdyś był dla niej przyjaznym, przy którym z dziecka się chowała. Jedno niebezpieczeńtwo minęło, ale komu teraz miała się dostać Litwa.

Z początku spodziewała się rychłego króla powrotu, nie wiedząc jak Litwą rozporządzi, bo o Świdrygielle słuchu jeszcze nie było.

Gdy powrót króla się opóźnił, coraz niespokojniejsza Sonka słała ciągle potajemnie, dowiadując co się z nim dzieje. Przez ten czas nawiązała całą siatkę około siebie sług wszelkiego stanu i cały dwór niewidomy, który był na jej rozkazy. Ani ochmistrz dworu, ani urzędnicy nie wiedzieli o nich. Przynoszono czasem prawdę, często baśnie i plotki, ale to podsycało i utrzymywało życie, a królowej przymnażało służby i pomocników, których starała się mieć wszędzie.

Ostatni wysłaniec po Witoldowej śmierci, ledwie dobiegłszy do Grodna, spotkał się tu z wyprawionym przez króla człowiekiem, opowiadającym, że był w niewoli trzymany i Świdrygiełło się z nim nieludzko obchodził. Wieść ta już się rozsiewała po całym kraju, kiedy na Wawel dobiegła. Królowę raziła ona, jak piorunem. Natychmiast wyprawiła podkomorzego do biskupa, zaklinając go, aby do niej przybywał.

W śmiertelnej trwodze, drżąca, zapłakana, spotkała go w progu, do rąk się jego rzucając.

— Ojcze! ratuj! król w niewoli!

Oleśnicki wydawał się zupełnie spokojnym, odparł dosyć zimno, że przy pomocy Bożej, nic złego stać się nie może. Uspakajając Sonkę dodał biskup, że nie zaniedbał nic, listy do Rzymu do papieża wyprawił, aby Ojciec św. słowem swem groźnem Świdrygiełłę upomniał... Wysłał też do króla Zygmunta i do innych panów chrześcijańskich zażalenia i skargi z prośbą, aby uciśnionemu Jagielle w pomoc przyszli.

— Widzisz, miłości wasza — dokończył — żem nie zaspał chwili i czynię, co mogę.

— Tak — odparła żywo królowa — ale po co nam wzywać pomocy cudzej, kiedy my sami króla ratować możemy...

Biskup myślał chwilę.

— Mój Boże, wojsko zbierać! — zawołała Sonka zrozpaczona. — Na odgłos, że ono idzie, Świdrygiełło jeszcze niemający sił zgromadzonych, musi się ulęknąć. Tu żadne listy nie pomogą... żelaza trzeba!

— Zawcześnie je z pochew dobywać i wojnę wywoływać — rzekł Zbigniew — bez zjazdu panów i szlachty, skądże ludzi wziąć?

— Zjazd zwołajcie!! — nalegała królowa.

Łagodząc ją, biskup po chwili dołożył, że naprzódby posłów należało do Świdrygiełły wyprawić i groźbą go przywieść do opamiętania.

Wszystko to królowej nie starczyło, zdawało się zbyt powolnem, ale nauczyła się tak ufać biskupowi, że w końcu uległa mu i na wszystko zgodzić się musiała.

Oleśnicki znajdował wiadomości przesadzonemi, niebezpieczeństwa nie widział jeszcze.

Tymczasem po całej Polsce z oburzeniem o niewoli mówiono, a wysłańcy królowej szlachtę poruszali... umysły rozogniły się zuchwalstwem człowieka, który śmiał się tak ze swym panem, z koronowaną obchodzić głową. Cały naród czuł się tym obelżonym.

Królowa głośnemi użaleniami, skargami, nabożeństwy, umiała te uczucia roznniecać i niebezpieczeństwo wystawiać groźnem. Dawni komornicy jej jeździli po dworach z jej rozkazu, powiadając w głos, że źle jest królestwu temu, którego głowę może lennik trzymać bezkarnie w niewoli, że srom spadnie na Polskę całą, jeżeli się nie ujmie za pana swego.

Szlachta, łacno dając się poruszać, zjeżdżała się już kupkami po gródkach, odgrażając, krzycząc na senatorów, że mało o króla dbali, sami sobie przywłaszczając władzę.

Nie usypiała królowa.

Gdy się tu tak przygotowywano wrzawliwie stawać w obronie Jagiełły, i iść ławą, aby go odbić, w Wilnie stawało się coraz gorzej.

Trzymał Witold naówczas Podolskie zamki, do których Polska prawa miała i odebrać potrzebowała.

Na pierwszą wiadomość o zgonie księcia, nim ona doszła do Dowgierda, starosty kamienieckiego, Polacy, przywabiwszy go do siebie, zmusili, że zamek im poddał. Inne też gródki podolskie, na których Litwini siedzieli, Smotrycz, Skałę, Czerwonogród i przyległe ziemie odebrali Polacy. Wygnany Dowgierd przybiegł ze skargą do Świdrygiełły.

Król o niczem jeszcze nie wiedział, gdy rozwścieczony odebranem doniesieniem, wpadł kniaź na zamek do niego, od progu krzycząc, że śmierć czeka Jagiełłę i wszystkich, co z nim byli, jeżeli mu Podola natychmiast zwrócić nie każe.

Świdrygiełło pienił się z gniewu, przyskakując, łżąc króla, kajdany mu zapowiadając i męki.

Strwożył się Jagiełło, ofiarując przysięgę, że o niczem nie wiedział i nie wie.

— Nie dopuszczasz do mnie żywej duszy, wysyłać mi nie dajesz nikogo, skądże chcesz, abym wiedział o tem i mógł zapobiedz?

Nieszczęściem, król pod pozorem odesłania do skarbu podatków, które Świdrygiełło ofiarował za życia Witolda jeszcze, wysłał z niemi dawniej Janka z Oleśnicy przez którego ustnie biskupa o ratunek prosił.

Pisma mu żadnego nie dano, ale on go nie potrzebował, bo widział na oczy swe, co się tu działo i cierpiał razem z królem.

Kniaź posądzał, że Jan z Oleśnicy, mógł zawieść na Podole rozkazy i wściekłość jego dochodziła do szału...

— Zamki oddać mi każesz, albo ci głowę z karku zdejmę — krzyczał nad uchem starcowi. — Ty i te psy twoje, co ci tu służą wszystkiego nawarzyliście! Wywieszam Lachów, ciebie w dyby zabitego, głodem zamorzę... Zdechniesz w moich rękach!

Król ciągle usiłował go uspokajać nadaremnie.

— Dajże mi sposób, jak ja mam na Podole słać? nie mam nikogo! Sam jestem.

— Pieczeć przecie masz z sobą, bom widział, gdy nią twój sługa dla Macieja biskupa w Trokach przywilej pieczętował. Okłamać mnie nie możesz; dawaj list pod pieczęcią, lub zginiesz!!

Jagiełło gotów był na wszystko.

Nagroziwszy jeszcze, klnąc, wybiegł Śwdrygiełło. Zaledwie się za nim drzwi zamknęły, gdy Andrzej z Tęczyna wszedł, a z nim Drzewicki cały drżący.

Król błagająco do nich rękę wyciągnął. Podkanclerzy trząsł się nie ze strachu, ale z gniewu. Sama ta myśl, że on mógł być zmuszony pieczętować list, który królestwo o stratę całej ziemi mógł przyprawić, w rozpacz go wprawiała.

— Ratujcie mnie! — zawołał Jagiełło. — To człowiek wściekły, jak mówi, tak uczynić gotów. I ja, i wy zginiecie, życiaśmy niepewni. Podole odbierzemy z pomocą Bożą, a żywota nikt nam nie wróci. Ratujcie mnie.

Drzewicki królowi do kolan przypadł.

— Nie można miłościwy panie!... Złóżcie wszystko na mnie, żem ja pieczęć zgubił, żem zatracił, żem winien. Niech mnie biorą na męki, niech głowę mi zetną. Życie dam, ale kraju nie zdradzę...

Jagiełło przerwał mu jękiem.

— Twojem on życiem syt nie będzie — krzyknął — moje weźmie... Listy na Podole trzeba wysłać, ktokolwiek je napisze, zapieczętuję główką od miecza... zamki mu trzeba dać, albo głowę!!

Na to błaganie królewskie nikt już odpowiadać nie śmiał, popatrzyli na siebie, uledz musieli.

— Pisz mi natychmiast list — zawołał król — rozkazuję. Moja wola... Zaklika z listem pojedzie, lepiej dziś, niż jutro... Michno Buczacki pewnie w Kamieńcu siedzi, ktoby inny, jak nie on na to się waży!? Niech zda zamki temu, kogo Świdrygiełło naznaczy.

Tęczyński chciał się odezwać, Jagiełło rękami zamachnął, nakazując mu milczenie.

— Pisz list, mnie życie miłe.

Po tej odprawie wszyscy, co przy królu byli, przybici i upokorzeni, wbiegli do izby podkanclerzego.

Łamał ręce Drzewicki, Andrzej Tęczyński, rycerskiego serca człowiek, jeden męztwa nie tracił. Burzyło się w nim, ale nadziei nie postradał.

— Z każdym dniem gorzej koło nas — odezwał się — cierpieliśmy i milczeli, król w niewoli, my jeńcami, trzeba w ostatku myśleć o sobie, nim słońce wejdzie z Polski, rosa tu oczy wyje.

— Ale jakaż rada, jeśli z Polski nam nie wyślą odsieczy? Co my poczniemy z pijanicą i szalonym? — westchnął Drzewicki. — Siły nie mamy. Chyba Bóg.

— Pewnie Bóg, Bóg pomoże — wtrącił Tęczyński. — Ale my też o sobie myśleć musimy, bo nim odsiecz nadciągnie, po nas tu tylko kości zostaną.

Obejrzał się dokoła. Było ich w izbie z dziesiątek. Położył palec na ustach i powoławszy ich do siebie, szeptać zaczął.

— Serca nam nie zabraknie, tu jedyny ratunek w męstwie. Krótko powiem: tego wściekłego człowieka potrzeba się pozbyć. Wpadnie tak jeszcze raz, jak oto dziś na króla, — co tu długo myśleć, jedni z tyłu drogę mu zaprą, drudzy się z tulichami nań rzucą nim krzyknie, zgładzimy go. Innej rady niema! niema! — gorączkowo powtarzał Tęczyński.

— Pan Bóg przebaczy, musimy w obronie króla stać!

Mężyk i inni słuchali, nie okazując bynajmniej ani zdziwienia, ani oburzenia. Owszem zdawali się wszyscy widzieć konieczność i nikt się nie wzdrygał.

— No, a potem? — spytał Mężyk.

— Nim się opatrzą, co się stało, zamek trzeba opanować, Litwinów z niego precz wysadzić, zamknąć się, obwarować i bronić, dopóki nie nadciągną nasi. Gdy Świdrygiełły nie stanie, inaczej bojarowie zaśpiewają.

Znowu milczeli wszyscy, nie sprzeciwiając się, słuchali uważnie, oglądając się tylko, czy obcy ich nie szpiegują.

— Tego, co ja myślę, oni się wcale nie spodziewają — mówił dalej. Sam jeden do izby zawsze wchodzi, prawie bezbronny, nas dziesięciu się może zasadzić, bodaj piętnastu, a ja pierwszy go tak za gardło ścisnę, aby mu nawet para z ust nie wyszła. Zaklika z listem na Podole jedzie — to i dobrze. Tego nam trzeba. Ostatnimby niezdarą był, gdyby z drogi, choćby go pilnowali, nie pchnął kogo do Krakowa, że już o gardło chodzi... Szlachta musi na koń siąść.

Śmiała ta myśl Andrzeja z Tęczyna, — przypadła do serca zrozpaczonym i znękanym, którzy nic do stracenia nie mieli, jak jedyna nadzieja wybawienia.

Jeden Drzewicki trochę syknął na nią, bo mordem zdradzieckim się brzydził.

— Trzeba go do tego przywieść przynajmniej — zawołał — ażeby się do którego z naszych porwał. Lżej będzie na sumieniu, a bezbronnego tak napaść...

— Albożpana i króla bronić nie jest obowiązkiem naszym? — wtrącił Mężyk.

Drzewicki już się też nie opierał. Wszyscy głowami poruszali, oporu nie było.

— Więc ino do dzieła, a śmiało! — zawołał Tęczyński Niech każdy idzie, sposobi się, patrzy, a o tem tylko myśli. Broń trzeba na kupę znosić, bo teraz się wala po izbach tam i sam, zbroje w pogotowiu mieć. Jeden drugiemu niech serca dodaje, nie odbiera. Bydlęciu temu koniec sprawimy, na jaki zasłużył. Zakolemy go, jak wieprza.

Poczynali się rozchodzić powoli, naradzając z Tęczyńskim, a dla niepoznaki, dzielili się po paru, po trzech i szli w różne strony. P. Andrzej sam został z Drzewickim.

— No, a z listem, co zrobimy? — zapytał podkanclerzy.

— Ah! — westchnął Tęczyński — list to wasza sprawa.

— Dałbym z życia mojego lat wiele, — zamruczał Drzewicki — abym mógł nie pisać i nie pieczętować.

— Nie ma na to rady, musicie! Rozkaz króla — rzekł Tęczyński. — Biedny stary przymuszony w niewoli, nóż na gardle, pismo takie nie warte nic... Chce go Świdrygiełło, — trzeba mu nim gardło zatkać, nim inaczej je zdusim...

— Daćby mu, choć w but albo w suknie wszyscy, drugie tajemne pismo do Buczackiego — szepnął cicho Drzewicki. — W nimby można mu powiedzieć, że król zmuszony rozkaz wysyła, ale oni go słuchać, ani zamków zdawać nie mają.

— Ba! dobry to był sposób — uśmiechnął się Tęczyński — ale wiecie, że u nas żadnego nie wypuszczają z zamku, nie przetrząsnąwszy kieszeni, nie wymacawszy za pazuchą. I buty gotowi zdejmować. Posła królewskiego z listami nie odprawią, nie obszu-

kawszy go, ażali nie wiezie jakiej zdrady, Bóg wie, czy go samego puszczą. Pewnie mu przystawa dodadzą.

Zadumali się oba. Tęczyński smutno się uśmiechał.

Drzewicki, który jako podkanclerzy z woskiem do czynienia miewał ciągle, postrzegł w tej chwili, na stole swoim leżącą grubą świecę żółtą woskową. Wziął ją w rękę i zadumał się, obracając na wszytkie strony.

Tęczyński milczał, spoglądał na niego.

— Co myślicie? — spytał.

— Co myślę? — hm — odparł podkanclerzy — myślę, że gdybym tę świecę rozerżnął, pismo w nią włożył, zlepił ją dobrze napowrót, aby znaku nie było, a Zaklice ją dał na drogę, aby sobie po gospodach przyświecał — hm? co mówicie??

Andrzej z Tęczyna objął go z radości rękami obiemi.

— Ja z woskiem do czynienia nie miewam i obchodzić się z nim nie umiem — zawołał — ale jeżeli pomoc moja potrzebna, mówcie! gotowem, choć zębami świecę gryźć.

Drzewicki nie czekając, już noża dobywał, świecę na wpół rozcinał.

— Zaklice jednak trzeba powiedzieć, — dodał śmiejąc się — aby świecy bardzo nie palił, a do rąk ją samemu Buczackiemu oddał.

Jeszcze nad stołem tak oba nachyleni stali, około świecy zajęci, gdy wszedł Zaklika.

— No — zawołał od progu — mam już wóz i przewóz, wiem, że mieć będę towarzysza podróży i jakiego. Przysłał Świdrygiełło, aby pod gardłem na jutro listy były gotowe. Do boku mi dodaje takiego pijanicę jak sam, tylko tęższej głowy... kniazia Michajła Babę.

— Tem ci lepiej, gdy pałkę zaleje — przerwał Tęczyński. — Przy pijanym trzeźwy panem zawsze, choćby ten i kniaziem był.

— Pomoże ci kniaź Baba listu królewskiego strzedz — dołożył Drzewicki, zwracając się ku niemu. — Możesz mu go nawet powierzyć, byleś mi moją świecę dowiózł całą.

— Świecę? — zdziwiony spytał Tarło. — Co za świecę?...

— Oto tę, którą ja ci na drogę dam — rzekł podkanclerzy, pokazując — pamiętaj jej nie palić, a panu Buczackiemu co najrychlej do rąk oddać, nim... listy przeczyta... Rozumiesz.

Uśmiechał się Drzewiecki; Zaklika spojrzał i zobaczył na stole sporo już wosku wyskrobanego ze środka, a otwór w niej zrobiony nie mały... Reszty się łatwo było domyśleć.

Gdy Zaklika z Tęczyńskim wyszli, podkanclerzy izby na rygiel zamknął, przeżegnał się pobożnie, Boga na pomoc wzywając i siadł, naprzód list potajemny do Buczackiego pisać, aby był gotowym i w świecy ukrytym dobrze, nim by mu przeszkodzono.

Zaledwie zdążył dokończyć, gdy od króla wysłany komornik zastukał, dowiadując się, czy do Buczackiego rozkaz był napisany i zapieczętowany. Pilno mu się było zbyć... szalonego brata zaspokoić, a od prześladowania się uwolnić.

(Ciąg dalszy nastąpi).



PORZUĆ DZIEWCZYNO...

Porzuć dziewczyno te obce stroje
Nie zdobią one polskiej dziewoje;
Ale ci zawsze ujmę przynoszą,
Obce zwyczaje za sobą wnoszą.

Porzuć dziewczyno strojne lakierki
Jasne pończoszki, strojne sukienki,
A przywróć dawny obyczaj stary,
Polskiej odzieży dochowaj wiary,

Porzuć dziewczyno obcisłe stroje,
Nikt nie poważa takiej dziewoje,
Co obcy zwyczaj z miasta sprowadza,
Strój narodowy jej nie dogadza.

Porzuć dziewczyno obce wymysły,
Co z zagranicy tu do nas przyszły,
Strzeż swego stroju jak strzeżesz cnoty,
Dodaj skromności innym ochoty,

I wy dziewczęta starsze i młode,
Co tak kochacie swoją urodę,
Raczcie posłuchać tej mojej rady,
Nie wnoście na wieś miejskiej parady.

Porzuć dziewczyno koronki modne
Wiejskiej dziewczynie są niedogodne,
Dziewczyna wiejska — polska lilja
Obce zwyczaje zawsze omija.

Porzuć dziewczyno krótką fryzurę,
Co w naszym kraju tak wzięła górę,
Wiejskiej dziewczynie, polskiej dziewoji,
W długich warkoczach zawsze przystoi.



Każdy kawaler na wsi niestety
Ocenia w pannie wszystkie zalety,
Gdy poszukuje dla siebie żony
Umie wykazać ujemne strony.

Porzuć dziewczyno wszystkie grymasy
Krótkich spodniczek sukien atłasy,
Niech się strój dawny na wsi ostoi,
To przykazanie polskiej dziewoi.

Józef Morawa.

LIGNICA — JANA MATEJKI.



Gdy Tatarzy najechali Polskę, król polski Bolesław Wstydliwy uszedł z kraju, pozostawiając ziemię ojczystą na pastwę okrutnego wroga. Zdawało się wówczas, że najeźdźcy ci zawojują całą Europę, że nic zatrzymają się aż gdzieś nad Atlantykiem. Tak myślało wielu, tak myśleli oni sami. Lecz podczas gdy potężni władcy drżeli przed dziczą mongolską, nie uląkł się ich jeden z potomków Piasta, książe śląski, Henryk II. Pobożny, syn św. Jadwigi. Ten z niewielką garstką rycerstwa zastąpił im drogę pod Lignicą, i choć własnem życiem przepłacił swoją odwagę, taką łaźnię im sprawił, że choć zostali zwycięzcami na polu tej bitwy, nietylko nie poszli dalej, ale wrócili tam, skąd przyszli. Było to w roku 1241. Ostatni książe lignicki z rodu Piastów, Jerzy Wilhelm, umarł w roku 1675.

Obrazek nasz jest reprodukcją obrazu największego z malarzy polskich Jana Matejki, zatytułowanego: Lignica.

„Na dnie“ Petersburga.

Niejeden z naszych Czytelników słyszał może o znanej książce Gorkija p. t. „Na dnie“, w której znakomity pisarz rosyjski wiernie odtworzył życie moskiewskich szumowin miejskich. Podobnie jak w Moskwie tak i w Petersburgu męty społeczne koncentrują się przeważnie w domach noclegowych, z których największy znajduje się na Prospekcie Międzynarodowym nr. 77. W przytułku tym nocuje codziennie około 1500 osób, nie bacząc na to, iż może on właściwie pomieścić tylko 550 osób. Jest to dom trzypiętrowy, na każdem piętrze znajdują się wielkie sale, w ogólnej ilości 10. Najciekawsza jest bezwzględnie sala nr. 4, która tem się różni od innych, że podczas gdy w pozostałych salach kradnie się od czasu do czasu, tutaj (to jest w sali nr. 4) kradnie się bez przerwy. Ofiarami są oczywiście osoby, które po raz pierwszy przyszły tu przenocować i siłą rzeczy nie znają jeszcze panujących tu zwyczajów. Trzeba przyznać, że złodzieje, w sali nr. 4 operujący, są dowcipni i kradzieży dokonują zazwyczaj w sposób conajmniej oryginalny. Oto np. przyszła nowa „ofiara“ w porządnym stosunkowo palcie. Rzecz jasna, że palto trzeba ukraść. „Ofiara“ jednak jest stosunkowo ostrożna, palta nie wiesza, lecz układa pod sobą na łóżku. Złodzieje uzbrajają się więc w cierpliwość i czekają, dopóki „ofiara“ nie uśnie. Następnie podchodzą ostrożnie do łóżka, jeden z nich wtyka śpiącemu między palce od nóg kawałek papieru i... zapala go. W chwili, kiedy poparzony śpiący w najwyższem przerażeniu wyskakuje z łóżka, drugi złodziej ściąga z łóżka palto i, korzystając z ogólnej paniki, ulatnia się z sali.

„Obywateli“ domów noclegowych podzielić można na kilka kategoryj. Są więc tu przedewszystkiem t. zw. „gracze“, stanowiący niejako arystokrację „dna“ petersburskiego. Ludzie ci „urzędują“ w rozmaitych klubach, gdzie ogrywają w karty lub w bilard niedoświadczonych towarzyszy. „Gracze“ są zazwyczaj elegancko ubrani, mają wyczyszczone buciki, włosy starannie uczesane, spodnie wyprasowane, — ale bielizny nie noszą.

Drugą kategorję stałych mieszkańców domu noclegowego stanowią zawodowi żebracy, dzielący się znów na kilka grup zależnie od stosowanych przez nich „metod pracy“. Mamy tu więc takich, którzy, rozbierając się do naga, starają się wzbudzić litość u przechodniów ulicznych, inni znów „pracują“ w ten sposób, że misternie wykręcają sobie nogi ręce, wmawiając potem naiwnym przechodniom, że są najnieszczęśliwszymi w świecie kalekami. Żebraków tych podzielić można również według sposobu żebrania: jedni więc proszą o jałmużnę po cichu, inni znów krzyczą przy tem w niebogłosy, inni jeszcze czynią to ze łzami w oczach itd.

Do trzeciej kategorji „obywateli“ przytułków noclegowych zaliczyć należy t. zw. „goroduszników“, tj. złodzieji targowych, operujących na targach, w ha-

lach targowych i t. d. Kilku „gorodusznikόw“ tworzy jakby spółkę z ograniczoną poręką, działającą w sposób następujący: Jeden ze złodzieji podchodzi do chłopskiego wozu, stojącego na targu, zupełnie jawnie kradnie jakiś przedmiot i ucieka. Poszkodowany chłop puszcza się oczywiście w pogoń za złodziejem, pozostawiając swój wóz bez dozoru. Na to tylko czekali pozostali złodzieje, którzy przez nikogo nie krępowani, okradają gruntownie naiwnego chłopa, a łup sprzedają zazwyczaj tego samego jeszcze dnia na innem miejscu tegoż targowiska.

W domach noclegowych spotkać się można często z t. zw. „byłymi“ ludźmi. Oto na przykład na jednej z prycz siedzi niejaki Maarski, pochodzący z zachodnich gubernij ZSSR. Liczy on dziś lat 50, a był dawniej właścicielem fabryki wyrobów tytoniowych. Do niedawna był też stałym mieszkańcem domu noclegowego pewien znakomity ongiś lekarz rosyjski. Poważny odsetek wśród mieszkańców domu noclegowego stanowią młodzi ludzie, którzy przybyli do Petersburga na studja, jednakże wpadli tu w wir życia wielkomiejskiego i wkrótce się już wykoleili. Tak to życie wielkomiejskie robi często z ludzi uczciwych pospolitych zbrodniarzy.



Najpaskudniejsem grzychem to jest ani chybił, niecystość. Palcem ją wytykają jegomość, pyskuje przeciw niej prefesur w skole, źlą sie na nią co porzomniejsi gospodarze, a i mnie ona juz nieraz kością w grale staneła. A niecystość, jak była za Hadama i Jewy tak po dziś dzień jest i widzi mi sie, ze na wieki wieków amen bedzie. Bo cy słysał kto kiedy o tem, aby sam Hadam, albo sama Jewa, albo oboje razem kąpali sie kiedy choćby w jakiem cebrzycku? Nie mówili tego nigdy nikomu jegomość, nima nic o tem w zadnej gazycie napisane, i nie wspomina nic o tem zadne pismo świete. A jak sie nie kąpali, to musieli chodzić obrudzeni i grzesyli niecystością.

A i dzieci ich i wnuki i prawnuki itd. byli pewnikiem tacy sami. Zrobiła sie z tego okrutecna Sodoma i Gomora tak, ze dopiro Poniezus musiał bez štyrdzieści dni i štyrdzieści nocy zrobić taką chlape i ludzi porządnie wypłukać. A tak ich na fest skąpał, aby ich z wszelakich niecystości ocyścić, ze pozostał sie ino Noe i pare inksych wypranych ludzi.

Zapóźni tez nie lepi musiało być. Bo jak sie urodził Mojżes, to Poniezus nie ino raz, ale dwa razy musiał go prać: raz w rzyce, jak był jesce maleńki, a drugi raz w morzu Cerwonem. Powiadał mi ktosik, ale juz nie pomne kto, ze morze to bez to wtencas tak sie od tego brudajstwa zydowskiego zababrało, ze je po dziś dzień Cyrwonem nazywają.

A myślicie, ze teraz mniej niecystości jest na świecie? Gdzieztam! Jakby kto patrzył ino tak po wirzchu, toby myślał, ze jej wcale nima. Ale niechno tak zaglądnie tu i tam, a scególniej tam, gdzie baby są, to przekona sie, ze jest jej tyle na świecie, ze jej tyle chyba ani w Sodomie i Gomorze nie było. Bo na przykład popatrzyć na nase Kasie, Marysie, Jagusie w niedziele, to cie jaz łoskoma bierze ugryźć tego kawałek, takie to bielutkie, milutkie i cacane. Ale jak tak nieprzymirzając której z niej wiater kiecke podniesie, to sie z pod spodu dadzą cemduchu widzieć celuście piekielne.

Ale z tem mniejsa, bo przecie nie zawse wiater jest, nie kuzdy musi pod spód patrzyć i nie kazdemu wolno to cynić. Ale idźmy juz nie w powszedni dzień, ale w święto do jednej i drugiej chałupy. No i co? Po środku to ta jsece jako tako. Ale poźryjcie no pod łózecko, abo pod safke, abo pod jaki inksy grat domowy, to sie, jak nie za swoją, to za cudzą cuprynę złapiecie, widząc tam tyle śmiecia i brudu, pozostałego jesce po Hadamie i Jewie!

A popatrzyć tu i tam po garckach! Nie rzadko znajdzies na safce talerzyki w deseń, porcelanowe garnusecki w ładne desenie łońskiego roku, albo i przed paru laty przez muchy ubrane. Stojało to rok i drugi i jesce stać bedzie az do Małgosi wesela, póki tego goście weselni, popijając kawe, do cna swojemi jęzorami nie omyją. Gorzej jesce jest z garkami na nalepie albo na blase! Tych uzywa sie coprawda codziennie, ale nie zawse do tego samego. I tak w poniedziałek gotował sie w garcku groch, we wtorek kapusta, we środe baszc, we cwartek kasa jaglana, w piątek pecak, a w sobote kluski, to zasie w niedziele na garcku pewnikiem znajdzies i kapinke grochu i ociupek kapusty i krztynke baszcu i odrobinke kasy i wiechetek pecaku i nieco klusek. Jest tam cały rejestr, co i kiedy było, wypisany, a cesto nietylko z jednego tygodnia, ale i z całego miesiąca.

Jakby kto nie wierzył, ze są baby, które grzysą taką niecystością, to ja mam ich wszyćkich spis u siebie i moge ich nazwiska kuzdemu podać. A ze nie drukuje ich w „Roli“, to nic dziwnego, bo jest ich tak duzo w Polsce, ze na wydrukowanie wszyćkich trzebaby kilku lat. A i takby nie poradził, bo te wydrukowane za ten casby pomarły, a inkse sie porodziły.

Jesce wieksą niecystość widziałem u Justyny Makolągwiny, jak byłem w Kociej Wulce. Przysedłem se tam w niedziele zaraz po sumie. Justyna siedzieli se na stole, rozparli swoją starą panią od brzegu do brzegu, miedzy kolana wzieli swojego, piecioletniego Bartka i wyciągali mu co moment robacka z włosów. I zamiast to wyrzucić gdzie za okno na štyry wiatry, lub w jaki inksy sposób temu łeb ukrecić, to za kuzden raz kładli wyciągnięte bidactwo na stole, przyciskali paznotem do deski, póki na amen nie trzasło i znowu śli po inkse do Bartkowej głowy. Jak juz było na stole ze štyry kopy ubitych skórek, oblizali palce, a odpedziwsy Bartka od siebie, siegneli do suflady po chlebuś i połozyli go na tych skórkach, powiadając:

— Spozywaj, Maciuś, z Panem Jezusem, spozywaj!

I ze za taką niecystość pierun z jasnego nieba w taką babe nie trzaśnie, to sie prawdziwie dziwić trzeba. Juz to na prawde Poniezus okrutecnie dobry, kiedy za takie niecystości ludzi nie karze juz na tem świecie!



Bóg i Marja.

Smutek i radość szybko przemija,
I lata biegną i biegną;
Lecz, gdy życiowe burze nas zegną,
Nam pozostaje Bóg i Marja!

Aleksandra M.

Wśród puszcz i stepów.

(Ciąg dalszy).

Niedźwiedź tymczasem spostrzegłszy zuchwalców, którzy ważyli się najść jego siedlisko, przystanął u wejścia i ryknął wściekle, aż skała zadrżała.

— Strzelaj pan, już czas, zakomenderował myśliwiec, postępujący na przedzie.

Wattson wysunął się naprzód, wymierzył i strzelił. Huk rozległ się w całem podziemiu; powtórzyły go echa niezliczone... Postać niedźwiedzia znikła w szczelinie, a jednocześnie dał się słyszeć plusk wody, jakby ciężki jakiś przedmiot wpadł do jeziorka.



Straszliwą łapą dosięgnął myśliwca.

— Dobry strzał, wyborny! musiał w sam łeb trafić — rzekł Serce prawe i przyśpieszonym krokiem wybiegł z podziemia. Trzej wędrowcy, przechodząc obok jeziorka, ujrzeli zwierzę drgające jeszcze w wodzie, lecz nie mieli czasu bliżej mu się przypatrywać, bowiem drugi niedźwiedź, zapewno samiec, ukazał się na wąskiej ścieżeczce, oddzielającej jeziorko od stromej skały. Szedł ze łbem podniesionym i ryczał wściekle; był już o kilka kroków tylko od myśliwca, który czekał na niego spokojnie z bronią w ręku. A wtem Jan Wattson, stojący tuż za nim, wymierzył i strzelił. Niedźwiedź, lekko zadraśnięty kulą, podskoczył w szalonym gniewie i z taką gwałtownością rzucił się na myśliwca, że ten nie miał czasu dobrze wymierzyć. Trafił wprawdzie, zwierz zachwiał się, lecz nie padł, tylko biegł dalej i straszliwą łapą dosięgnął myśliwca. Wszystko to trwało daleko krócej od opowiadania naszego.

Obaj Wattsonowie bez tchu prawie spoglądali na myśliwca, podziwiając nadzwyczajną jego siłę. Jedną ręką trzymał mocno łapę niedźwiedzia, drugą odsunął od siebie jego łeb; tym sposobem na chwilę obezwładnił całkowicie zwierzę, tak, że nie mogło go ani ująć w objęcia zwyczajem swoim, ani potężnymi zębami poczęstować. To mocowanie się z silnym potworem nie potrwałoby zapewne długo, gdyby myśliwiec nadludzkim wysiłkiem w końcu nie był pchnął niedźwiedzia w wodę, przyczem i sam, nie mogąc utrzymać równowagi, wpadł z nim razem do jeziorka. Ale w tejże samej chwili skoczyli do wody stary Wattson z Janem. Myśliwiec z całej siły cisnął łeb niedźwiedzia, utrzymując go pod wodą; nie udałoby się mu się to tak łatwo, gdyby zwierz nie był już osłabiony utratą krwi z dwóch ran. Wkrótce jednak szerokie ostrza nożów myśliwskich obu Wattsonów utonęły w cielsku potworu i pokonały go ostatecznie.

Wędrowcy nasi nie zadawali sobie trudu wyciągania zabitych zwierząt z wody. Były to dwa okazy prawdziwie olbrzymie: długość ich cielska wynosiła około dwu metrów, a ciężar każdego doświadczony Wattson oceniał na dziewięć centnarów conajmniej.

Serce prawe, pomimo całej swej waleczności, nie wyszedł bez śladów podrapania z tego straszliwego pojedynku; odzienie jego więcej jeszcze ucierpiało, gdyż silne pazury zwierza poszarpały je porządnie. Wszyscy trzej musieli się rozebrać, i o ile możności, wycisnąć z wody i osuszyć ubranie.

Wędrowcy przyciągnęli do brzegu jednego niedźwiedzia, i odciąwszy mu łapy, puścili się w dalszą drogę.

Podróż trwała dni kilka bez żadnych szczególnych przygód; przechodzili stepy rozległe i gęste lasy, napotykali niekiedy okolice dziksze i bardziej ogołocone od innych, prawdziwe pustkowia, ani razu jednak młody myśliwiec nie okazał najmniejszej niepewności, nie zawahał się w wyborze drogi. Szóstego czy siódmego dnia Serce prawe zaczął coraz częściej i pilniej poszukiwać śladów na ziemi.

— Tu w tej okolicy możemy już spotkać się z Pawnisami — rzekł — bo nie mają innej drogi do koczowisk swoich.

W rzeczy samej dnia następnego z rana spostrzeżono liczne ślady kopyt końskich na trawie.

Ślady stawały się coraz wyraźniejsze. Tegoż samego wieczora Serce prawe rzekł do towarzyszy:

— Indjanie są bardzo blizko; trzeba skorzystać z ciemności nocnych i pójść na zwiady, by się dowiedzieć przynajmniej, co się dzieje z jeńcami. Ja to najlepiej zrobić potrafię, — zostańcież więc tu panowie i czekajcie na mnie.

Po krótkim pochodzie, ujrzawszy w oddaleniu obóz nieprzyjacielski, Serce prawe położył się na trawie i pełzał, jak wąż, ukrywając się co chwila, to za pniem drzewa, to za krzakiem lub w zagłębieniu gruntu. Tym sposobem zakradł się w pobliże obozu i tam przez czas jakiś leżał nieruchomo. Następnie z większą jeszcze ostrożnością podsunął się aż pod same szałasy, podpatrzył i podsłuchał wszystko, o co mu chodziło. W parę godzin zaledwie powrócił do towarzyszów, wyglądających go z wielkim niepokojem. Był bardzo smutny i zasępiony.

— Orzeł czubaty — rzekł do obu Wattsonów — skrępowany jest w sposób najokrutniejszy i liczne straże pilnują go dniem i nocą. Daleko lepszy jest los panny Elli i starego sługi. O ile mogłem wyśledzić, Pawnisy bardzo dobrze obchodzą się z córką pańską, a przez wzgląd na nią i z Tobiaszem. Jest tam młody chłopak, syn znakomitego wodza, nazywa się Jeleń wrzący; on jeden może z całej tej zgrai łotrów ma serce lepsze i szlachetniejsze uczucia, — słyszałem o nim wiele. Otóż na szczęście Jeleń wziął pannę Ellę w opiekę, możemy więc o nią tymczasem być zupełnie spokojni. Ale przyjaciel mój Orzeł czubaty, a nawet i stary sługa, w wielkiem są niebezpieczeństwie; stąd musimy nieustannie być w pogotowiu na wypadek, gdyby ratunku potrzebowali. Jestem przekonany, że Pawnisy długo zwłóczyć nie bę-

dą i obu zgładzą najokrutniejszą śmiercią, skoro tylko przybędą do swoich siedlisk. Lecz zaprawdę, póki w żyłach moich jedna kropla krwi pozostanie, wyleję ją chętnie w obronie przyjaciela i nie dopuszczę do tego, aby niegodziwi wrogowie się nad nim znęcali. Wszak mogę liczyć na pomoc panów?

— Czyż potrzebujesz pan pytać o to! — zawołał osadnik — mamy najświętsze obowiązki wdzięczności dla tego szlachetnego wodza, który własne życie poświęcił dla uratowania mojej córki.

— To dobrze — odrzekł myśliwiec, ściskając ręce obu — jutro Pawnisy staną już w swoich koczowiskach, my zaś musimy się usadowić w pobliżu i urządzić czujne warty. Będziemy potrzebowali do tego niemałej roztropności i nieustraszonej odwagi.

22. Siedliska Indjan.

Nie domyślając się wcale, że są z tak bliska szpiegowani, Pawnisi wyruszyli nazajutrz w dalszą drogę, uwożąc ze sobą jeńców. Ella i Tobiasz rzeczywiście, dzięki opiece Jelenia wrzącego, żadnych przykrości nie doznawali i jedynie tylko na brak swobody uskarżać się mogli. Inaczej rzecz się miała z Orłem czubatym. Skrępowano go najokropniej i na chwilę nie spuszczano z oczu, a oprócz tego dokuczano mu nieustannie rozmaitymi sposobami.

Dnia następnego kawalkata zbliżyła się do położonej na skraju lasu i przerzniętej bystrym strumieniem łąki, na której rozsypane były szałasy czyli wigwamy indjan. Już z daleka nim jeszcze do osady dojechano, Pawnisy, powracający z podróży, powitali swoich trzykrotnym donośnym okrzykiem.

Po pierwszych powitaniach wojowników z rodzinami, tłum kobiet i dzieci otoczył jeńców i począł znęcać się nad nimi niemiłosiernie. Jeźdźcy otoczeni tłumem pieszych jechali z wolna dalej i stanęli wreszcie w swej „wiosce".

Przyprowadzono jeńców na środek łąki. Z rozporządzenia wodza umieszczono niezwłocznie Orła czubatego w jednej z najmocniej zbudowanych chatek; czterech podrastających chłopaków indyjskich stanęło tymczasem przy drzwiach jej na warcie. Tobiasza pozostawiono na łące i nie zsadzono z konia. Obok niego stało kilkunastu jeźdźców, którzy także nie zsiedli wraz z innymi. Jeleń wrzący, jadący ciągle obok Elli, teraz odstąpił ją na krótką chwilę, podjechał do wodza, pomówił z nim, znowu powrócił do młodej dziewczyny i rzekł z uśmiechem przyjaznym:

— Jeleń wrzący już się porozumiał z Tygrysem zębatym co do Sarenki modrookiej. Od tej chwili Sarenka będzie pod wyłączną opieką Jelenia. Cóż siostra moja na to mówi?

— Z całego serca się cieszę, że mam tak szlachetnego opiekuna — odrzekła Ella, podając mu rękę.

— Niechże siostra moja jedzie teraz ze mną — rzekł młody Indyjanin.

— Dokądże mamy jechać? — spytała z lekkim niepokojem.

— Niedaleko. Wioska Jelenia leży na drugim brzegu rzeki — staniemy tam za chwilę.

— A Tobiasz i Orzeł czubaty pozostaną tu w mocy Tygrysa zębatego?

— Tylko Orzeł czubaty. Blady człowiek pojedzie z nami.

— O! czemuż Jeleń wrzący nie weźmie także i Orła czubatego w swoją opiekę.

— To niepodobna. Tygrys zębaty odstąpił Jeleniowi Sarenkę modrooką i bladego starca za to, że mu zostawił Orła czubatego.

— O mój Boże! — westchnęła Ella — jakimże okropnym kosztem jestem okupiona!

— Gdyby nie to, że wódz Osagów wpadł w ręce Pawnisów, byłaby okropna kłótnia wynikła o Sarenkę modrooką, bo Tygrys zębaty chciał ją zabrać dla siebie. Ale Orzeł czubaty jest największym jego nieprzyjacielem, więc wyrzekł się bladych jeńców, aby go zatrzymać wyłącznie w swej mocy. Zresztą, to zupełnie wszystko jedno; niech Sarenka nie wyobraża sobie, że Jeleń wrzący mógłby darować życie wodzowi Osagów.

Niema więc żadnego ratunku? Orzeł czubaty musi zginąć i to najokrutniejszą śmiercią... O Boże!

Podczas tej rozmowy gromadka jeźdźców wraz z Tobiaszem przyłączyła się do nich i puścili się wszyscy brzegiem rzeki. Dojechali wkrótce do miejsca, gdzie woda była płytka i ledwo do kolan koniom sięgała, przebyli więc rzekę w bród i niezadługo Ella ujrzała przed sobą wioskę indyjską, zupełnie do tamtej podobną. Tu nastąpiły znów takież same powitalne okrzyki i hałaśliwe przyjęcie.

Jeleń wrzący podjechał wraz z Ellą do chatki większej i porządniejszej od innych, stojącej nieco na uboczu. Stary Indyjanin ogromnego wzrostu i okazałej postawy, przybrany w oznaki wodza, stał u wejścia i powitał Jelenia serdecznie. Był to jego ojciec. Młodzieniec poszepnął mu coś na ucho, czego Ella dosłyszeć nie mogła, chociaż widziała, że na nią wskazywał. Stary uśmiechnął się, podszedł do dziewczyny i podał jej rękę, pomagając zsiąść z konia.

— Niech córka moja będzie pozdrowiona i wejdzie do wigwamu wodza Pawnisów — rzekł uprzejmie.

— Jeleń wrzący i jego ojciec pamiętać będą o tem, aby Sarence modrookiej nie brakło nigdy świeżego mięsa i słodkiego miodu; będzie też Sarenka miała młodziutką towarzyszkę, do siebie podobną, Stokrotkę polną; obie zapewne pokochają się wkrótce wzajemnie. Niech córka moja idzie za mną.

Ella zaciekawiona była wzmianką o młodej towarzyszce, nie śmiała jednak pytań zadawać. Jeleń wrzący poszedł w inną stronę, a stary wódz poprowadził ją do małej chatki, stojącej na uboczu, w pobliżu jego własnej. Dowiedziała się później, że to było mieszkanie dla gości wodza przeznaczone. Całe urządzenie odznaczało się czystością; brakło wprawdzie najprostszych nawet sprzętów, bo Indjanie nie mają wyobrażenia o wygodach życia cywilizowanego, znać było jednak wszędzie pewną staranność. Ziemię pokrywały skóry żubrów, a w jednym kącie skóry te, ułożone wysoko jedne na drugich, tworzyły posłanie miękkie i ciepłe. Przez całą szerokość chatki przeciągnięty był sznurek, na którym wisiały paski suszonego mięsa. Na grubej kłodzie drewnianej stał kociołek miedziany i kilka większych i mniejszych naczyń glinianych.

— Niech Sarenka modrooka uważa tę chatkę za swoją własną i rozgości się wygodnie — rzekł stary wódz. — Jeleń wrzący i ojciec jego nie dopuszczą tu z pewnością niedostatku. A teraz może Sarenka modrooka chce na chwilę zostać samą.

I wyszedł, a Ella, obejrzawszy mieszkanie swoje, co jej niewiele zabrało czasu, usiadła na posłaniu ze skór i pogrążyła się w smutnych myślach.

Smutne te myśli tak ją całkowicie pochłonęły, że nie odrazu spostrzegła, jak na progu jej chatki, to jest przy otworze, zastępującym drzwi, stanęła młoda Indjanka. Dziewczyna ta musiała być w tym samym wieku, co Ella; lecz niedość na tem, w całej jej postaci, w wyrazie twarzy, a nawet w ruchach, było

pewne nieokreślone, lecz uderzające podobieństwo do córki osadnika. Gdyby nie różnica cery, możnaby je wziąć za rodzone siostry. W czarnych, błyszczących oczach Indjanki malowała się także sama łagodność i słodycz, połączona z siłą ducha i energją, jak w pięknych szafirowych oczach Elli. Dziewczę to miało na sobie krótką spódniczkę ze skóry jeleniej, starannie wyprawionej, rodzaj pantofelków z podobnego materjału, i na tem koniec: mody indyskie nie są zbyt wyszukane. Indjanka spoglądała przez chwilę w milczeniu na Ellę, która plecami do drzwi była obrócona i dotąd jej nie spostrzegła. Ładna jej twarzyczka wyrażała zdziwienie i dziecinną radość. Wkońcu szepnęła półgłosem:

— Sarenko modrooka...

Ella odwróciła się nagle i powstała.

— Kto ty jesteś? — zapytała zdziwiona.

— Nazywam się Stokrotka polna — odpowiedziała Indjanka dźwięcznym głosem i uśmiechnęła się łagodnie.

— Ach, Stokrotka polna! — powtórzyła Ella — słyszałam już to imię. Czy Stokrotka jest córką wodza?

— Jeszcze nie — odpowiedziała dziewczyna i znowu uśmiech twarzyczkę jej rozjaśnił — ale Stokrotka polna zostanie córką wodza niezadługo.

— Nie rozumiem — mówiła Ella.

— Alboż Sarenka modrooka nie wie o tem, że Jeleń wrzący jest synem wodza? — rzekła młoda Indjanka, spuszczając oczy z pewnem zakłopotaniem.

— Ach! wiem już, wiem — zawołała Ella — Stokrotka polna jest narzeczoną Jelenia i wkrótce zostanie jego żoną. Nieprawdaż?

— Siostra moja prawdę powiedziała — potwierdziła Indjanka.

— Stokrotka polna będzie miała dzielnego i zacnego męża. Cieszę się serdecznie tą wiadomością.

— Jeleń wrzący jest synem wielkiego wodza i sam niezadługo wodzem będzie — rzekło dziewczę z dumą.

— Najszczerzej życzę Stokrotce, aby była szczęśliwa.

— Sarenka jest bardzo dobra. Stokrotka polna i Sarenka modrooka pokochają się z pewnością i nigdy w życiu się nie rozłączą.

— Czy tak Stokrotka sądzi? — szepnęła Ella drżącym głosem, gdyż taka przyszłość nie uśmiechała się wcale biednej dziewczynie.

— Tak, tak; Jeleń wrzący opowiedział już wszystko Stokrotce. Jak tylko zobaczył Sarenkę modrooką, zaraz ją polubił za to, że taka podobna do Stokrotki polnej. Jeleń chce, żeby Sarenka była towarzyszką i przyjaciółką Stokrotki i nie odstępowała jej, gdy Jeleń wrzący będzie odjeżdżał na łowy lub na wojnę.

— Dobrze — rzekła Ella, widząc, że musi sobie tymczasem zaskarbić życzliwość młodej Indjanki — będziemy przyjaciółkami; Jeleń wrzący tyle mi wyświadczył dobrego, że radabym mu wdzięczność moją okazać i chętnie spełnię jego życzenia.

— Stokrotka polna odrazu pokochała Sarenkę modrooką i zawsze ją kochać będzie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

FR. LIPIŃSKI.

Wawrzek Dybczak.

(Nowela). (Ciąg dalszy).

— Gdyby tato rozumiał tę służbę, inaczejby gadał — ale tato mówi na wiatr...

— Mówię jak chcę i co czuję — tyś moja córka, więc troszczę się o twój byt, a zresztą nie jesteś biedną...

— Tak, tak — potwierdziła matka.

— Masz majątek, wyprawę piękną...

Na duszę Wawrzka padł smutek. Chciał w tej chwili zniknąć z oczu niesympatycznego ojca. Nie miał słów na swoją obronę. Zaniemówił. Na zewnątrz okazywał spokój, ale sercem targał ból.

— Straży nie mogę porzucić — kocham ten zawód. Jako małe dziecko lgnąłem do niego. Po wojsku zgłosiłem się zaraz do straży, mając na celu obronę mienia... nawet pańskiego...

— Co pan chce, żebym się spalił?!

— Co pan mówi! wyrwała się matka.

— Ależ, niech Bóg broni — odrzekł spokojnie.

— Niech pan liczy słowa, gdy mówi.

— Tato dziś wstał z łóżka lewą nogą. Nie słuchaj nic Wawrzku co tato mówi. Zły jest dzisiaj — jutro będzie lepszy.

— Cicho siedź! krzyknął gniewnym tonem.

— Przepraszam — nic złego nie mówiłem — odezwał się Wawrzek.

— Pan mówił o ogniu, a my się ognia boimy — wybełkotała matka.

— Nie będzie nic, niech Bóg broni!

— Tak niech pan mówi.

Hanka była rozpaczona tym przebiegiem sprawy. Chciała wyjść na pole i zapłakać. Nie mogła się jakoś wypowiedzieć — a sama odmowa dobiła ją. Uczuła żal do rodziców, a Wawrzek stojący na środku izby, był dla niej najnieszczęśliwszym człowiekiem. Współczuła z nim serdecznie.

Wawrzek przygotował się do wyjścia obrażony w swej dumie.

— Muszę państwo pożegnać...

— Może pan jeszcze zostanie chwilę — ma pan czas — odrzekła matka.

— Zostań Wawrzku, pomówimy jeszcze...

— Odchodzę... Później złożę państwu wizytę.

Pożegnał się z wszystkimi.

Wyszedł z domu jak z czyśca. Nie spodziewał się takiej odprawy. Nie mógł znieść tego wstydu. On ambitny człowiek, mający powodzenie w życiu — którego tak lubiły kobiety! Nie mógł sobie tego wytłumaczyć, co się stało. Musi zerwać i nie pójdzie nigdy. Nie mógłby żyć z takim domem. Szedł szybko, nerwowo, zły, chcąc jak najszybciej schować się w domu, bo zdawało mu się, że cały świat śmieje się z niego i drwi — a ojciec Hanki zmienił się w szatana. Dopędza go, leci za nim.

Nie ochłonął w domu.

Musi się napić wódki. Upije się do utraty zmysłów raz w życiu, raz jeden, aż zapomni o tem i zaśnie,a potem będzie się starał zatrzeć w pamięci wszystko.

— Mundur mój ich razi, — strażak — a co to strażak nie człowiek? — powtarzał — czy strażak u niego to bydlę! Mam dla nich zawód zmienić! O! głupi ludzie! Ten ojciec i ta matka!

Chodził tam i z powrotem po stancji, nie wiedząc co z sobą począć. Szukał w sobie spokoju, równowagi.

Wyszedł z domu. Nie wiedział, gdzie skierował swe kroki. Czuł się w tym dniu jakimś szaleńcem. Kochał ją bardzo, bardzo!... Ale czy w miłości można iść prosto? — wykoleją ją ludzie, lub kochający się.

Na mieście pusto, ani żywej duszy. Czy to północ? — rzekł do siebie. Poszedł pod mdłe, kopcące się latarnisko, i spojrzał na zegarek. Jedenasta wieczór. Uszedł kawałek drogi i wstąpił do szynku. Kazał sobie podać kilka mocnych wódek. Pił i upił się, zakręciło mu się w głowie — stał, robiąc niewyraźne kroki. Wybiegł z szynku. Szedł ku domowi. Po drodze utykał na wyboiskach i kamieniach, ale przyszedł do siebie. Usiadł na łóżku, pobredził trochę i — zasnął.

SCENA IV.

W domu Hanki, po odejściu Wawrzka zawrzało jak w kotle. Powstała kłótnia, którą wszczęła pierwsza Hanka. Usposobiona była dzisiaj — bojowo. Śniła tyle pięknych nadzieji i marzeń, które paroma słowami zniweczył ojciec, zdaje się — na zawsze.

— Coście zrobili, co? — Teraz napewno nie wróci. Strażak wam się nie podoba! książę po mnie nie przyjdzie. Taki porządny i dobry chłopiec. Nastręczycie mi jakiego panka, będzie pił i bił mię, i myślicie, że będę z nim szczęśliwa!

— Cicho bądź! Coś się tak rozsierdziła! krzyknął ojciec. Masz czas wyjść zamąż .

— Jeszcze nie jeden ci się trafi— odrzekła pełna nadzieji matka.

— Nie chcę, abyś miała mężem strażaka, to wstyd dla naszej rodziny. I do tego jakiś tam, ze wsi! Myślałem zrazu, że to jakiś urzędnik, a to prosty strażak tak się ubrał dla ciebie. Ubiorem mnie nie weźmie!

— Dosyć już, dosyć! Nie mówcie, już wystarczy tego! Serce mnie boli...

— Ale się zakochała! oj, joj oj!... zażyj aspiryny!

— Daj pokój ojciec — perswadowała matka — może go kocha.

— Tak, kocham go, a wy zrywacie wszystko, depczecie miłość moją. Czy wstyd wam robię, że pójdę za strażaka. A czy jesteście takiem wielkiem państwem?

— Ale jestem gospodarzem, mam majątek, jestem obywatelem...

— Daj pokój ojciec, daj pokój. On i tak tu nie przyjdzie. Widać było, że się pogniewał.

— Tak — bo wy nie umiecie się z człowiekiem obchodzić. Ludziom podoba się człowiek nie cichy, rzetelny, skromny i dobry, tylko hulaka, warjat, krzykacz...

— Cicho mi, cicho. Ja znam ludzi.

— Poszlibyście spać — odparła zmęczona tą gadaniną i kłótnią matka.

Hanka stanęła u otwartego okna pełna burzy w sobie i buntu, nie mogąc znieść tego wstydu. Była bezsilną w tem wszystkiem. Chciałaby biec za nim i przeprosić go — ale on znikł w cieniach nocy, i napewno narzeka na swój los, na miłość i na cały świat. Czuła się bardzo nieszczęśliwą. Serce jej łkało. Nie mogła się uspokoić. Oczy miała pełne łez. Płakała przed gwiazdami i skarżyła się im kochająca dusza. Nikt jej bólu tak nie odczuł, jak sam Wawrzek, a może te gwiazdy w czarnej nocy świecące tak blado i bez nadzieji? Pamiętała wczorajszy cichy, ciepły wieczór, jak szli aleją przed oblicze księżyca, a on ją tak tulił i całował, tyle razy obejmował męskiemi ramionami i szeptał jej cudowne słowa miłości, jakich nie słyszała nigdy z żywych ust — tylko czytała w jakiejś nieznanej powieści.

Może to szczęście nie wróci... Na duszę opadną mroki i żadne gwiazdy nowe nie błysną. Z za drzew czarnych, skrzydlatych, wyszedł księżyc ogromny i ujrzał twarz Hanki inną niż wczoraj — smutną twarz zda się, na całe życie — której serce płakało nocą o cichej godzinie...

SCENA V.

Orkan szalał nad miastem późną nocą. Pioruny biły w drzewa samotne na rozstajnych drogach, rozłupiając je. Oślepiające błyskawice oświetlały raz po razu całe miasto jak olbrzymie reflektory, i budziły grozę. Wicher wył i szamotał drzewami na wszystkie strony. Drzewa, jeszcze z wieczora ciche — w burzy musiały się wyszumieć. Opętaniec wiatr chwytał grzywy drzew i czesał ze starych liści i suchych łodyg. Te leciały w czarną, huczącą przestrzeń w głębokości dali. Deszcz płókał dachy domów, siekał w szyby okien, padając nieustannie z kłębisk przewalających się chmur. Na drogach w czasie błysku — lśniły kałuże. Deszcz spływał strugami z rynien i zalewał ulice. Piorun wyprawiał harce i czuł się panem w tej ogromnej przestrzeni nocy — i trjumfował waląc w to, co mu stało na drodze. Lęk objął strwożonych mieszkańców .Niektórzy nie spali. Pobożniejsi stawiali do okna obrazki święte, aby odwołać tę szaloną burzę, niektórzy zaś modlili się, klęcząc wśród ciemnej izby, bojąc się lampę zaświecić.

(Dokończenie nastąpi).

Grobowiec Piasta we Francji.

We Francji, w katedrze w Dijon jest grobowiec księcia Władysława Białego, który zmarł w 1388 roku, jako zakonnik tamtejszego klasztoru cystersów. Książę Władysław Biały syn Kazimierza, należał do linji kujawskiej Piastów i był księciem na Gniewkowie. Księstwo to do 1343 r. wraz z całemi Kujawami, zajęte było przez krzyżaków, a zwrócono je Polsce dopiero po pokoju kaliskim. W r. 1355 książę Władysław Biały sprzedał swe księstwo Kazimierzowi Wielkiemu i wyjechał do Francji, gdzie wstąpił do klasztoru cystersów.

Oprócz napisu na grobowcu, zdobi go herb oraz przypisek, że pomnik ten odnowiono w 1869 roku kosztem ks. Władysława Czartoryskiego, który był wygnańcem.

Sprawa ta wypłynęła dzięki pismu dr. Henryka Bona, z Besançon, jednego z przyszłych uczestników międzynarodowego kongresu medycyny wojskowej w Warszawie, który, przygotowując się do podróży do naszego kraju, przestudjował francuski przewodnik po Polsce i w związku ze wzmianką o grobowcach królewskich na Wawelu, nadesłał autorowi wiadomość o grobowcu w Dijon, o którym jego wuj napisał monografję.



Poradnik gospodarczy.

Czerwiec i lipiec to miesiące miodobrania i zbierania rojów. Do tego czasu pasiecznik powinien zdawać sobie sprawę, czego właściwie chce od pszczół; czy miodu? czy roje? Jeden pień nie da miodu i roja. Gdy chcemy powiększyć pasiekę to część pni przeznaczamy na roje do tego wybieramy pnie najsilniejsze w muchę, zaś drugą część przeznaczamy na miód. W ten sposób będziemy mieli i miód i pnie.

Ule, przeznaczone na roje gdy doszły do dużej siły, zakładają mateczniki, które matka zaczerwia. Często gdy matecznik jeszcze nie zasklepiony, rodzina pszczelna dzieli się na dwie osady, to znaczy wychodzi rój.

Na kilka dni przed wyjściem roja osada wysyła oddział pszczółek, którego zadaniem jest wyszukać nową siedzibę dla nowej rodziny. W języku pszczelarskim oddział ten nazywa się „Isk". Rój wychodzi zwykle przed południem. Pobujawszy w powietrzu, siada tu, gdzie spocznie matka i zbija się w kłąb. Często, zwłaszcza przy drużakach zdarza się, iż rój odrazu wzbija się w górę i ucieka. Osiadły rój zbieramy i zostawiamy w chłodnem miejscu i wieczorem obsadzamy w ulu na to odpowiednio przygotowanym. Rójką należy tak pokierować, aby z jednego pnia otrzymać jeden rój a nigdy więcej. Zbytnie zrajanie się pszczół wpływa bardzo ujemnie na zbiór miodu.

Chcąc otrzymać z pnia tylko miód rozszerzamy gniazdo, a przez to dostarczamy wolnych komórek na miód i matce do czerwienia równocześnie chłodzimy ul. Gdy już cały pień napełnimy ramkami, dajemy na wierzch lub bok nadstawki, czyli sztucznie powiększamy objętość ula; gdy i tak powiększoną przestrzeń zaleją miodem, wyjmujemy ramki pełne, a na ich miejsce dodajemy nowe. Czynimy to zwłaszcza w gnieździe, aby matce nie zabrakło miejsca do składania jajeczek. W tym czasie należy usuwać matki stare, to jest te, które słabo czerwią, zastępować je matkami młodemi, rasowemi.

Dobroć pnia, zysk w miodzie, zależy od matki; dlatego nie należy żałować nawet i młodej matki o ile okaże się nie dobrą, ale usunąć ją a zastąpić dobrą.

Pszczelarze na czas pożytku łączą słabsze pnie po dwa razem, aby otrzymać więcej miodu. Zabieg ten opłaci się bardzo, gdyż 2 pnie średniej jakości nie dadzą dużego zysku i często na zimę jeszcze im trzeba dodać cukru, gdy zaś pnie te złączymy razem, dadzą nam często duży zysk i na zimę przygotują odpowiednie zapasy. Zasadą powinno być mało pni a bardzo silnych, a nie dużo, słabych, gdyż słabe pnie nie zysk ale stratę przynoszą.

Możemy pasiekę dobrze powiększyć bez dopuszczenia do rójki, przez tak zwane sztuczne roje.

Roje takie można robić tylko z pni silnych i wtedy pasiekę można powiększyć nawet o połowę, to jest z dwu pni robić trzeci. Ale tylko światły pszczelarz może sobie pozwolić na robienie odkładów, czyli roi sztucznych z pni bardzo silnych i gdy ma zapasowe matki. Sposobu robienia sztucznych roi nie podajemy — gdyż początkujący pszczelarz niedoświadczony przez rozdrobnienie swej pasieki mógłby ją utracić. Zaś pszczelarzy doświadczonych, a nie znających sposbu robienia dobrych odkładów odsyłam do dobrych podręczników, których w języku polskim nie brak. Aby powiększyć zbiór miodu, pszczelarze przed głównym pożytkiem usuwają matki z uli. W ten sposób odmładzają matkę i otrzymują znacznie więcej miodu. Ale i tu tylko w pniach silnych można sobie na to pozwolić. Inni, nie chcąc matek zabijać, odgradzają matkę zastawką sporządzoną z blachy cynkowej lub drutu.

W ostatnich czasach jednak wszelkie kraty, zastawki, jednem słowem wszelkie odgradzanie matek rozumni pszczelarze starają się wyrugować ze swoich pasiek przez wprowadzanie uli najnowszego systemu, tak zwanych nadstawkowych.

Odbiór miodu powinien odbywać się za pomocą miodarki. Odebrawszy czysty miód należy przechować w czystych naczyniach, aby mógł przechować się przez dłuższy czas i nie stracić smaku i zapachu.

Jan Matysik.

Polecimy!

Albatrosowi w odpowiedzi na jego wiersz.

Polecimy złączeni jako dwa białe Duhy
Ponad uśpione zioła i kwieciste łąki,
W łunach błyskawicowych po gwiazdę otuchy
Z pieśnią życia na ustach — z taką jak skowronki...

I nie zniżymy lotu, lecz ufni w zwycięstwo
Dusz szlachetnych, w podniebue dźwigniemy je szlaki!
W piersi gnuśnych wlejemy czar mocy i męstwo,
Którego pozazdroszczą im królewskie ptaki...

Ożywimy krwi tętnem martwe bryły lodu,
Poruszymy stojące na grobach szkielety,
Rozpalimy Znicz wielki wśród cmentarzysk chłodu,
Żarem słońca błyśniemy gdy staniem u mety!...

Daj mi dłoń, Albatrosie, niech ją ścisnę mocno!
Pod namiotem z szafiru dziś zawrzem przymierze
Zanim zegar wydzwoni godzinę północną
Prężmy złociste skrzydła w nadziei i wierze!

Robert Rydz.

Kwitnący ogród...

(Siostrze mej Marji poświęcam).

Dyszący aromatem balsamicznej woni
Jak obraz z czaru-baśni w rzeczywistość wzięty —
Na którym białych duchów rój ulata święty —
Tonie ogród w przepychu kwiecia grusz, jabłoni.

W górze nad nim wesoły gwar skowrończy dzwoni...
I jaskółka zatacza gzygzakowe skręty,
Leciuchny wietrzyk pieści wiosenne ponęty —
Wiejąc przesłodką wonią od borów i błoni,

W podmuchu jego tchnienia ogród kwiecie roni.
I cicho, pada biały puszek przekwitnięty,
Osiadając na cudnej traw zielonej toni —

Kędy wala się martwy zwiędły i pomięty —
Wzrok mój te czarujące białe kwiaty goni,
I w duszy mojej tęsknot gromadzą się męty...

Mikołaj Krawczyk.

KRONIKA.

Od Administracji. Do numeru następnego, jako kończącego półrocze, dołączymy czeki dla wszystkich prenumeratorów półrocznych. O ileby który z Prenumeratorów całorocznych dostał także czek, to tylko przez przypadek i „Rola“ wstrzymaną mu nie będzie.

Morderstwo z zemsty. Z Tarnowa donoszą: Straszna zbrodnia wstrząsnęła Tarnowem w ubiegłym tygodniu. Oto niejaki Adam Pietras, 27-letni robotnik ciesielski z Tarnowa, pozbawił życia uderzeniem siekiery w tył głowy Józefa Łakomę, majstra ciesielskiego z Rzędzina, zajętego u inż. Okonia, przedsiębiorcy budowlanego. Uderzenie było tak silne, że złamało czaszkę i naruszyło mózg. Łakoma zmarł w parę godzin. Morderstwo popełnione zostało przy ul. Mała Strusina. Powodem zabójstwa była zemsta osobista za zwolnienie Pietrasa z pracy jako mało zdolnego robotnika. Po dokonaniu krwawego czynu Pietras oddał się dobrowolnie w ręce policji.

Dwa zabójstwa. We czwartek o 3 rano żona inżyniera Konrada Czeczewińskiego, urzędnika zarządu wodnego w Wadowicach zastrzeliła swego męża. Po dokonaniu krwawego czynu, oddała się sama w ręce policji. Po wstępnem przesłuchaniu, w czasie którego podała, że do zbrodni popchnęły ją niesnaski małżeńskie, trwające już od dłuższego czasu, została odstawiona do więzień sądowych.

W poniedziałek 6 b. m. kaflarz Józef Michalski z Mielca zastrzelił w Kiełkowie swoją żonę Marję i sam się postrzelił, jednak nieszkodliwie. Mordercę policja aresztowała i osadziła w aresztach sądu w Mielcu. Powodem zabójstwa były od dłuższego czasu nieporozumienia małżeńskie. Ś. p. Marja Michalska w ostatnich czasach wniosła przeciwko mężowi skargę separacyjną, sama z trojgiem dzieci przeniosła się na mieszkanie do Kiełkowa, gdzie udzielała nauki krawieczyzny i zajmowała się krawiectwem. Mąż jej, Józef Michalski, mieszkał w Mielcu z dwojgiem dzieci i zajmował się kaflarstwem. W poniedziałek, 6 b. m., Józef Michalski udał się do żony do Kiełkowa i starał się ją nakłonić do wspólnego pożycia, przyczem miał jej grozić rewolwerem, a gdy ta spostrzegła w jego ręce rewolwer i chciała uciekać, morderca zatrzymał ją za rękę i strzelił jej w skroń, a następnie sam postrzelił się w okolicy szyji. Powodem tej tragedji małżeńskiej były także opłakane stosunki materjalne Michalskich. Z braku pracy nie mógł on zarobić na utrzymanie pięciorga małych dzieci, które jego szalony czyn pozbawił matki, a ojca wpędził do więzienia.

Masowy mord pod Kosowem. Z Żabiego w powiecie kosowskim donoszą: Między tutejszymi wieśniakami Hapczukiem i Ryndzakiem istniały naprężone stosunki osobiste, o podłożu, które całkowicie nie zostało jeszcze stwierdzone. Faktem jest, że Hapczuk zapałał chęcią zemsty na rodzinie Ryndzaków i podpalił dom ze wszystkich stron. Wśród obecnych we wnętrzu, na widok morza płomieni, powstało przerażenie. Ryndzak z żoną rzucili się na ratunek, lecz w tejże chwili dwa strzały rewolwerowe położyły ich trupem na miejscu. Było to dzieło Hapczuka, który przy drzwiach płonącego budynku czekał na swoje ofiary. Następnie morderca wpadł do płonącego domu, chwycił leżącą na ziemi siekierę i zamordował nią przebywającą tam swą siostrę, Paraskę, oraz troje dzieci Ryndzaków. Po dokonanym czynie zbiegł natychmiast w kierunku granicy czechosłowackiej i dotychczas ukrywa się przed okiem sprawiedliwości. Za ohydnym mordercą zarządzono natychmiastowy pościg.

Tragedja nieszczęśliwego ptaka. W Jarogniewicach, w Poznańskiem, w majątku hr. Żółtowskiego, zdarzył się wskutek brutalności i bestjalstwa chłopaków folwarcznych ciekawy wypadek, który rzuca jednak pewne światło na psychologję zwierząt. Przed rokiem, na drzewie, obok budynku gospodarczego uwiła sobie gniazdo para dużych, pięknych bocianów. Rozwydrzeni chłopcy folwarczni dobrali się na dach domu, potem na drzewo i w czasie nieobecności bocianów przemienili jaja bocianie na indycze. Bocianica wysiadywała pilnie jaja. Po pewnym czasie z jaj wylęgły się pisklęta indycze. Bocian widząc to, pobił dotkliwie bocianicę, tak, że ją pokrwawił, dzióbem pozabijał małe indyki i uciekł z gniazda. Gdy bocianica wyleczyła się z otrzymanych ran, zaczęła latać za żerem, miejscowe jednak bociany odganiały ją od żeru, nie pozwalając chwytać żab. Gdy miejscowe bociany gotowały się do odlotu, wówczas bocianica próbowała z nimi ruszyć do ciągu, ale towarzysze pobili ją dotkliwie dzióbami tak, że zaledwie dowlokła się do gniazda i leżała kilka dni jak martwa. Dopiero z innymi bocianami zdołał nieszczęśliwy ptak ruszyć kluczem do ciepłych krajów. Tego roku z wiosną znów ta sama bocianica przyleciała na drzewo w Jarogniewicach, ale samotna. Starała się budować gniazdo, ale zaledwie zniosła chrust, bociany rzucają się na gniazdo i burzą pracę nieszczęśliwej. Już trzeci miesiąc płynie na żmudnej pracy samotnej bocianicy, która dotychczas nie ma miejsca przytułku. Widocznie bociany podejrzewają nieszczęśliwą bocianicę o prowadzenie życia niemoralnego.

Złodziejstwo dla sportu. Na jednej z najbardziej uczęszczanych dzielnic Budapesztu można było zobaczyć następującą scenę. Mały niepozorny człowieczek, umykał z całych sił, a tłum policjantów i detektywów pieszo, konno i na rowerach ścigał uciekającego. Niepozornego człowieka ujęto i odprowadzono do komisarjatu. Po drodze odezwał się do eskortującego go policjanta:

— Proszę się ze mną obchodzić delikatnie, mam połamane kości u nóg i rąk w 16 miejscach, wczoraj zaś uległem znów wypadkowi i ledwo się ruszam.

Tym osobliwym aresztantem był słynny węgierski dżokej (człowiek jeżdżący konno na wyścigach) Ludwik Altman, zwycięzca na wielu międzynarodowych torach. Aresztowano go za okradanie sklepów. Przy badaniu zadano mu pytanie:

— Dlaczego pan uprawia złodziejstwo, będąc tak sławnym i bogatym?

— Jestem w każdym celu sportowcem, porywają mnie niebezpieczne przedsięwzięcia, więc nie mogę oprzeć się pokusie kradzieży, wcale nie dla zysku, tylko dla ryzyka, jakie z tem jest złączone.

Badający począł pisać te wyznania w protokole i odwrócił oczy od winowajcy. Naraz doszedł go łomot za oknem i krzyk. Altman, korzystając, iż okno było otwarte, wyskoczył z drugiego piętra na bruk i począł umykać. Ubiegło dobre pół godziny, nim przyprowadzono go znowu do urzędu policyjnego. Komisarz nie miał względu na zamiłowania sportowe słynnego dżokeja i odesłał go do więzienia.

Adam i Ewa. Para zajmujących dziwaków przybyła w tych dniach do Paryża, aby zlikwidować w Europie wszystkie interesa i wrócić do afrykańskich puszcz. P. Marcin Johnson i żona jego Cecylja wyjechali przed 5 laty do krajów podzwrotnikowych z polecenia muzeum przyrodniczego w Paryżu, aby robić z natury

zdjęcia fotograficzne ze świata zwierzęcego. Małżonkowie zamieszkali w zachodniej Abisynji i tak upodobali sobie życie na łonie przyrody, w absolutnej ciszy i beztrosce, iż mają niezłomny zamiar nie wrócić na stałe między cywilizowanych ludzi. W dziewiczym lesie afrykańskim, gdzie nie postała jeszcze noga Europejczyka, wybudowali sobie chałupę. Gorący klimat umożliwił im chodzenie nago, żywili się roślinami, rybami i zwierzyną. Niczego nie brakowało im do szczęścia. Paryż zrobił na mieszkańcach puszczy przygnębiające wrażenie. Wśród ruchu, zgiełku i walki o byt czują się jak najgorzej, więc czemspieszniej wracają do swej samotnej chałupki.

Pięcioletnia dziewczynka utopiona w bagnie. Wielkie wrażenie wywołała w Paryżu wiadomość o morderstwie, którego się dopuściła na swej 5-cioletniej córeczce niejaka Germaine Chavigny, kasjerka pewnej firmy handlowej. Przed mieszkaniem dzieciobójczyni zebrał się liczny tłum, a wzburzenie było tak wielkie, iż tylko dzięki interwencji policji nie poniosła morderczyni doraźnej kary z rąk oburzonych matek i ojców. Germaine Chavigny była osobą dobrze uposażoną, wszystkie jednak zarobki obracała na stroje i zabawy, a pięcioletnią swą córeczkę oddała na wychowanie na wieś. Skoro przestała płacić wynagrodzenie za utrzymanie dziecka, wychowawczyni przewiozła je do Paryża i pozostawiła w domu matki. Germaine Chavigny zawadzała dziewczynka, postanowiła przeto uwolnić się od niej.



Wywiozła dziecko za Paryż, wtrąciła je do bagna i czekała, aż dziewczynka zapadła się całkowicie w błoto. Dokonawszy strasznego dzieła, wróciła do Paryża i udała się do dancingu, w którym hulała do rana. Zbrodniarka na swe usprawiedliwienie wyznała sędziemu, iż chciała „użyć życia", a dziecko stało jej na przeszkodzie. Nie starczyło jej na utrzymanie córeczki, posiadała jednak 27 modnych toalet i 32 pary bucików.

Sport i miłość. Na ławie oskarżonyah zasiadł w Shirley znany sportsmen angielski, lord Charles Dunaud, starszy, 52-letni mężczyzna, stojący pod zarzutem zastrzelenia żony swej, 26-letniej Eweliny Dunaud oraz kuzyna jej, 30-letniego Henryka Chattera, utalentowanego i rokującego piękne nadzieje inżyniera. Ta afera kryminalna wywołała wielkie poruszenie w całej Anglji, gdyż lord Dunaud jest osobistością bardzo znaną i popularną dzięki żywemu udziałowi, jaki bierze w życiu sportowem oraz licznym odniesionym w tej dziedzinie sukcesom. Dunaud uprawiał rozmaite sporty, zyskał sobie sławę, zwłaszcza jako znakomity automobilista, jeden z najlepszych w Anglji. Bliższe szczegóły krwawej afery kryminalnej, której ten sportsmen jest bohaterem, są następujące: Przed trzema laty ożenił się on z 23-letnią, sławną z piękności córką arystokraty szkockiego, Eweliną Serby. Małżeństwo nie było dobrane, a niebawem już zaczęły się pojawiać zgrzytliwe dyssonanse. Oto lord Dunaud całą duszą pochłonięty sportem nie wiele mógł czasu poświęcać młodej żonie, którą zresztą kochał po swojemu. Zaniedbywana Ewelina nie czyniła zrazu mężowi wyrzutów, wkrótce jednak zaczęła mu zupełnie dobitnie dawać do zrozumienia, że taki tryb życia długo potrwać nie może.

— Wcale nie chcę — mówiła — abyś zrezygnował ze swoich zajęć sportowych. Przeciwnie — dumna jestem z twoich sukcesów. Ale musisz przyznać, że one zajmują pierwsze miejsce w twojem sercu. Myślisz znacznie więcej o sporcie, niż o mnie. To musi się zmienić. Musisz wybrać: albo ja albo sport.

Lord zrozumiał, że żona ma zupełną rację. Uczuł szczerą skruchę i przyrzekł żonie, iż sportem będzie się zajmował tylko przygodnie. Upłynęło kilka tygodni. Nagle lord otrzymał list, zawiadamiający go o zbliżających się zawodach automobilowych. Równocześnie list wyrażał przypuszczenie, że lord Dunaud — jak zwykle — zechce w nich wziąć udział. W duszy zaciekłego sportsmena zawrzała zacięta walka. Wreszcie po długiej rozterce wewnętrznej zwyciężyła żyłka sportowa. Lord odpisał z posiadłości wiejskiej, w której wraz z żoną od kilku tygodni przebywał, że za parę dni przybędzie do Londynu, celem rozpoczęcia odpowiednich przygotowań. Pod pretekstem załatwienia ważnych interesów pożegnał żonę, oznajmiając, iż niebawem wróci. Minęła kilka dni a Dunaud nie wracał. Wreszcie napisał żonie, że tym razem musi stanowczo wziąć udział w zawodach automobilowych, wobec czego prosi, aby postąpiła jak uznaje za stosowne: pozostała w Shirley lub też przyjechała do Londynu. W duszy opuszczonej żony zrodziła się myśl zemsty. Zawezwała listem do Shirley kuzyna swego, inżyniera Henryka Chattera, który oddawna kochał się w niej nieszczęśliwie. Zdziwiony i zaintrygowany przyjechał Chatter do Shirley. Tutaj Ewelina oznajmiła mu, że napisała doń, korzystając z nieobecności męża, że czuje się samotna i opuszczona, łaknie towarzystwa ludzi życzliwych. Naturalnie zakochany po uszy inżynier nie omieszkał okazać się towarzyszem życzliwym i nastąpiło to, co nastąpić musiało. Wówczas Ewelina wystosowała do męża list, w którym zawiadomiła go o wszystkiem. Tym razem lord zapomniał zupełnie o sporcie i natychmiast wrócił do Shirley, przypuszczając zresztą, iż żona może tylko grozi. Tymczasem obecność Chattera w Shirley oraz stanowcze ponowienie wyznania przekonało go, iż rzeczywiście żona go zdradziła. Wówczas celnymi strzałami z rewolweru zabił Chattera i ukochaną żonę, poczem sam oddał się w ręce sprawiedliwości. Obecnie stoi lord Dunaud przed sądem, będąc przedmiotem ogólnego zainteresowania. Sportowe zabarwienie tej afery nadaje jej posmak oryginalności i niezwykłej sensacji. Trudno przewidzieć wynik procesu, należy tylko zaznaczyć, że obrony podjął się jeden z najwybitniejszych adwokatów londyńskich, Joe Marschal, którego nazywają w Londynie „księciem obrońców", już to dlatego, że zwykle występuje jako rzecznik procesów arystokratycznych, już dlatego, ze zajmuje wśród obrońców monarsze, wybitne stanowisko.

Pomysłowy pastor. Wielebny Patrick, pastor kościoła ewangelickiego w Sussex, miewał stale zatargi z chórzystami, nietylko fałszywie śpiewającymi, ale, na domiar złego, molestującymi go przy każdej sposobności o podwyżkę wynagrodzenia. Poczciwy pastor acz gołębiego serca, rozgniewał się wkońcu na niesumiennych śpiewaków i postanowił uniezależnić się od nich zupełnie. Zwrócił się więc do kilku wybitnych artystów operowych, którzy zgodzili się wyśpiewać mu szereg popularnych psalmów do aparatu gramofonowego. Następnej

niedzieli nabożeństwo odbyło się już przy akompanjamencie gramofonu — reforma ta przyjęta została z uznaniem przez licznie zebranych pobożnych, winszujących zadowolonemu kapłanowi tak dowcipnego sposobu pozbycia się chórzystów.

Czciciele szatana. Znany pisarz angielski Montague Summers wydał przed kilku tygodniami książkę, która narobiła wiele wrzawy w całym świecie, bowiem autor stwierdza, iż w Anglji istnieje bardzo liczna sekta satanistów, która oddaje cześć szatanowi i wykonuje ohydne praktyki religijne w kilku londyńskich „świątyniach“ specjalnych. Praktyki te odbywają się regularnie każdego piątku, a kilkuset fanatyków bierze w nich stale udział. Montague Summers twierdzi, że w ostatnich latach wzrosła niepomiernie liczba świętokradztw na całym świecie. Najczcigodniejsze świątynie w Europie padają łupem złodziei, którzy unoszą z nich aparaty liturgiczne i relikwie. Zdawałoby się, iż kradzieży tych dokonują pospolici złodzieje, wiedzeni chęcią zysku. Tymczasem sprawa przedstawia się inaczej. Aparaty liturgiczne i relikwie potrzebne są satanistom do wykonywania ohydnych przesądów, a tylko takie aparaty mają dla nich wartość, które używane były przy nabożeństwach chrześcijańskich a zwłaszcza katolickich. Poszukiwane są przedewszystkiem relikwie i sprzęty liturgiczne, pochodzące ze starych kościołów, otoczonych szczególną czcią ludności. Sataniści są bardzo solidarni i znakomicie zakonspirowani. Pomagają sobie wzajemnie i starają się zawładnąć najodpowiedzialniejszemi stanowiskami. Celem ich jest zniweczenie wiary w Boga i wprowadzenie na świecie kultu szatana.

Patrzenie na odległość. Wynalazca angielski Baird podjął próbę patrzenia na odległość przy pomocy telewizora. Próby te urządzone na linji telefonicznej Londyn-Glasgow wypadły pomyślnie. Rozmawiający ze sobą przez telefon na odległość 650 klm. widzieli się dość wyraźnie.

Tajemnicze widma. W pobliżu miejscowości leczniczej Bad Nauheim w Niemczech znajduje się miasteczko Friedberg, słynne ze starodawnego zamku książąt heskich, zbudowanego na szczątkach ruin rzymskich. Zamek ten stał się obecnie przedmiotem zainteresowania spirytystów. Z Anglji, Francji i Niemiec zjeżdżają do Friedbergu badacze, aby rozwikłać dziwną zagadkę. W zamku pojawiła się para carska. Służba zeznaje, iż stale między godziną 11 a 12 w nocy zjawia się w ogrodzie zamordowany car rosyjski wraz z swą małżonką. Zjawy przechadzają się po alejach, siadają na kamiennych ławeczkach i kończą swą wędrówkę w altanie obrośniętej bluszczem. Zamek w Friedbergu był miejscem urodzenia ostatniej carowej. Tam przyszła na świat żona Mikołaja II, w murach tych spędziła swą młodość i będąc już carową, chętnie wracała do miejsca, gdzie spędziła dzieciństwo. Poraz ostatni bawiła tam carowa wraz z swym mężem w roku 1911. Do tej chwili przebywa jeszcze w zamku służba, która posługiwała carskiej parze. Stary burgrabia pokazuje sypialnię carowej, urządzoną tak, jak była w roku 1911, podczas ostatniego pobytu pary cesarskiej. W tej właśnie sypialni pojawiła się poraz pierwszy zjawa bladej, wiotkiej kobiety. Było to w kilka tygodni po wymordowaniu rodziny carskiej. Długoletni zarządca zamku nie rozgłaszał jednak o tem. Sprawa nabrała dopiero rozgłosu, gdy służba i robotnicy ujrzeli na własne oczy cara i carową. Wedle opowiadań świadków, para carska zachowuje się z wielką godnością, nie straszy ludzi, nie hałasuje, lecz przesuwa się po komnatach i alejach, prowadząc z sobą cichą rozmowę. Może to wszystko być prawdą, ale jeszcze prawdziwsze zdaje się być przypuszczenie, że ludzie, widzący rzekomo owe widma, podlegają jakiemś dziwnem złudzeniom.

Ciekawa statystyka. W czasopiśmie „Die neue Gegenwart“ podaje Dr Bärting ciekawe dane statystyczne o stosunku liczby kobiet do liczby mężczyzn w Niemczech. Już przed wojną notowano w Europie przewagę liczby kobiet nad liczbą mężczyzn. Przewaga ta jednak nie była znaczna. Według spisu ludności z r. 1910 r. w Niemczech przypadało 1029 kobiet na 1000 mężczyzn, ale i ta nieznaczna różnica zaznaczyła się dopiero u kobiet, które przekroczyły 45 rok życia, co świadczyło też, że kobiety żyją dłużej. Stosunek zaś liczby mężczyzn był zaledwie widoczny, a nawet w granicach 20 do 25 roku życia liczba mężczyzn przeważała. Po wojnie stosunek ten zmienił się zupełnie. Według spisu ludności z 16 czerwca 1925 r., ludność Niemiec wynosiła 62,470 000 głów, z czego 30,120.000 przypadało na mężczyzn, a 32,350.000 na kobiety. A więc, gdy przewaga liczby kobiet nad liczbą mężczyzn wynosiła przed wojną 3 proc., to po wojnie przewaga ta doszła do 7 i pół procent. Co jest przy tem najznamienniejsze, to fakt, że przewaga liczby kobiet zaznacza się u nich obecnie najsilniej nie po 45 roku życia, jak przed wojną, lecz przeciwnie, pomiędzy 20 a 45 rokiem życia, mianowicie na 1.000 mężczyzn przypada 1.160 kobiet w wieku powyższym. Poza tem liczba mężczyzn niezdolnych do zawierania związków małżeńskich zwiększyła się w Niemczech znacznie wskutek wojny, tak, że z 12,615.000 kobiet niemieckich w wieku od 20 do 45 lat 5,330.000 jest niezamężnych, a zatem 420 na 1.000. Jeżeli zaś do tej liczby dodamy wdowy i rozwódki to okaże się, że w Niemczech istnieje 8.665.000 kobiet nie posiadających mężów. A zatem czwarta część dorosłych przedstawicielek płci żeńskiej Niemiec!

Okręty wojenne ludożerców. Są jeszcze na świecie ludzie, którzy za najsmaczniejsze jedzenie uważają mięso ludzkie. Robią oni wycieczki wojenne, napadają sąsiadów, a wziętych do niewoli najsmaczniej pożerają. Do niektórych wycieczek, które urządzają poza cieśniny morskie, używają specjalnych łodzi, a czynią to szczególniej mieszkańcy wysp Salomona, obok Australji.



Jak widzimy, statki wojenne tych ludożerców odznaczają się groźnymi kształtami i umyślnie tak są urządzone, aby rzucić postrach na wroga. Łodzie te mają zazwyczaj 44 stóp długości, a 5 stóp szerokości i poruszają się po wodzie z błyskawiczną szybkością. Ogromne wysokie dzióby tych łodzi zdobne są bogato w barwne muszle i pióra — na szczytach dziobów powiewają majestatycznie białe pióropusza. Na dole, u zgięcia, wystaje potworny łeb boga wojny, Totishu, który to bóg poskramia złe duchy fal i daje zwycięstwo nad wrogiem.

RZECZY CIEKAWE.

Zwierzęta jako pomocnicy zbrodniarzy.

Że między zbrodniarzami istnieje cała gromada ludzi inteligentnych, to jest rzecz dawno wiadoma. Raz po raz czytamy o zbrodniarzach, którzy dzięki swej inteligencji mogliby wybić się na każdem innem polu... Nic też dziwnego, że zbrodniarze bardzo często posługują się najnowszemi wynalazkami i wynikami wiedzy. Stąd nieraz też biorą do pomocy zwierzęta. Zwierzę może przytem odgrywać rolę bierną, albo czynną. W tym celu tresuje się poprostu zwierzę, podobnie, jak zresztą również policja tresuje psy w celach przeciwnych — wyłapywania zbrodniarzy. Do tych celów nie nadają się wszystkie zwierzęta bez wyboru, lecz trzeba dobierać zwierzęta inteligentne. W pierwszym rzędzie chodzi tutaj o psa, odwiecznego przyjaciela człowieka. On też odgrywa najczęściej rolę, jako sprzymierzeniec zbrodniarza. Pies jest z natury rzeczy stróżem porządku domowego i towarzyszem swego pana. Może być jedak również — „włamywaczem". Nieraz też spotyka się psy tresowane na złodziei, okradających zwłaszcza rzeźników. Rzadziej spotyka się psy tresowane do kradzieży bardziej skomplikowanych.

Nieraz złodzieje kieszonkowi używają do pomocy psa. Wyszukawszy ofiarę, szczują na nią psa, który atakuje zażarcie, a wtedy złodziej przychodzi z rzekomą pomocą i okrada oszołomionego przechodnia. Sposobności ma wtedy dosyć, bo albo podnosi go z ziemi, albo czyści mu ubranie, podprowadza go do dorożki itp. Niedawno okradł w ten sposób jeden z paryskich kieszonkowców przechodnia z wszystkiego, bo zabrał mu nietylko portfel, zegarek, szpilkę z krawatu, ale nawet pelerynę i parasol...

Trudniej nieco tresować do kradzieży koty, lecz przy umiejętnem postępowaniu i tu złodzieje dochodzą do dużych rezultatów.

Przed kilku laty wywróciła kotka lampę naftową, i sprawiła w ten sposób pożar w składzie ubrań. Była to podnieta dla międzynarodowego zbrodniarza. Wpadł on na pomysł wywołania podobnych katastrof sztucznie. Począł więc ćwiczyć koty w strącaniu zapalonych lamp naftowych i koty te sprzedawał ludziom, którzy zapłaciwszy wysokie premje ubezpieczeniowe od pożaru, chętnie widzieli swe domy płonące. Tresura nie była bynajmniej łatwa. Stąd też cena kotów w ten sposób wytresowanych była wysoka — 800—1000 dolarów. Wszytko ma jednak swój koniec i wreszcie amerykańskie towarzystwa ubezpieczeniowe poczęły podejrzywać, że zbyt częste pożary mające swój powód w zapaleniu się od tłuczonych lamp naftowych, wyglądają podejrzanie. Sprytny detektyw wpadł na trop hodowcy kotów i odtąd pożary tego rodzaju ustały.

Znany jest, jeśli już mowa o kotach, następujący wypadek: Przez granicę celną przechodziła stara kobieta z koszem, w którym miała kotkę z kilku kociętami. Lecz celnik nie dowierzał tej idyli, sięgnął do kosza i o to, co się okazało: koty były nieżywe, wypchane były zato opiumem...

Wielkie powodzie w przeszłości.

Ogromny zalew, jakiemu tego roku uległy okolice nad rzeką Missisipi położone, przypomina nam podobne potopy z czasów minionych. W roku 1889 ofiarą takiego zalewu było miasto Johnston (Dżonston), położone również w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej nad rzeką Susquehanna. I wówczas rzęsiste deszcze spowodowały, że rzeka wezbrała nagle i niesłychanie. Cała okolica aż do 70 kilometrów oddalenia tworzyła straszny widok zniszczenia. W rozhukanych falach znalazło śmierć około 6000 osób, a nadto 1500 przy pożarach, które właśnie równocześnie nawiedziły miasto. Dwa lata przedtem Żółta Rzeka w Chinach zalała przeszło 1400 miasteczek i wielkich wsi, przyczem ludzi miało zginąć przeszło sto tysięcy. W trzy lata później zdradziecka rzeka wystąpiła ponownie z swych brzegów. Jakie wtedy szkody wyrządziła bądź to w ludziach bądź też w domach i gruntach tego niepodobna było w żaden sposób stwierdzić ile że w tak ludnym kraju jak Chiny o kilka miljonów ludzi nie chodzi. W roku 1891 mała rzeka Amarguilla w Hiszpanji doznała takiego wylewu, że w nim zginęło 2000 ludzi. Na Węgrzech dwie rzeki, Cisa i Marosz, zalały kraj do tego stopnia, że 600.000 domostw legło w ruinach i 2000 ludzi przypłaciło życiem ten wypadek.

W starodawnych czasach może bywały jeszcze większe wylewy, ale kraje były wówczas mniej zaludnione, przeto nie wywoływały takiego zniszczenia.

Ile w Berlinie wypijają piwa?

Z obliczeń przeprowadzonych ostatnio wynika, że stolica Niemiec wypiła w ubiegłym roku rekordową ilość 559,000.000 kufli piwa, czyli 1,700.000 więcej, aniżeli w 1914-ym roku. Ponieważ Berlin posiada około 4 miljonów mieszkańców, przez to wypada na głowę, a raczej na gardło 139 kufli, czem winno czuć się zawstydzone Monachjum, stolica piwoszów, spożywające nawet stosunkowo mniej tego narodowego trunku.

Jak Kafr zdobywa żonę?

Różne są na świecie obyczaje, ale sposób, w jaki Kafrowie zdobywają sobie żony, jest naprawdę bardzo oryginalny, mogący zaspokoić nawet najdalej posunięte upodobania do niezwykłości. Gdy młody Kafr chce się żenić, czeka on na skraju lasu na młodą dziewczynę. Ledwo ją zoczy, uderza maczugą po głowie i zabiera ofiarę z sobą. Jeśli dziewczyna po tym ciosie kończy życie, młodzian wyrzuca ją rybom na pożarcie, bo nic nie może zginąć w tym oszczędnym kraju. Młodzian zaś znowu musi wędrować do lasu i czekać na nową kandydatkę. Jeśli nowa piękność wytrzyma uderzenie i po chorobie wraca do zdrowia, Kafr żeni się z swoją wybraną. Trzeba przyznać, że takich wypadków jest bardzo wiele, bo Kafrowie mają czaszki twarde. Podobno ten sposób wyszukiwania żon jest nadzwyczaj trafny i praktyczny, bo wyróżnione dzięki niemu kobiety są w małżeństwie niezmiernie posłuszne, bardzo wrażliwe na każde skinienie swego męża i władcy.

Miasto bez kina w Ameryce.

Dziwnem się wyda, że właśnie w Ameryce Północnej, która świat cały swemi filmami zasypuje, istnieje miasto bez kina. Jest to Brookline, w stanie Massachussets, jedno z najbogatszych w stanie, pomimo nielicznej ludności, bo tylko 47.000. Przed pięciu laty istniał tam kinomatograf, który jednak nie miał powodzenia. Mieszkańcy tego dziwnego miasta uważali bowiem, że kino jest dobre, „o ile jest na właściwem miejscu, ale miejscem tem nie jest w żadnym razie Brookline". Toteż pod wpływem agitacji nauczycieli i rodziców, którzy uważali kino za bardzo szkodliwe dla uczącej się młodzieży, odbyło się referendum, w wyniku którego kino zostało zamknięte, bez prawa założenia nowego. Oczywiście mowa tu o dużem mieście, gdyż małe miasteczka kin nie posiadają.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: **Józef Wojnarowski** w Sz.: Nie jest tak, jak Pan twierdzi, ale w jednym z najbliższych numerów nadesłane nam uwagi zamieścimy, nie wątpiąc, że spowodują one wyjaśniającą odpowiedź. — **Jan Stalowy** w Z.: Serdecznie się cieszymy, że „Rola" tak się Panu podoba. Na przyszłość mamy wiele planów, aby ją ulepszyć i uczynić jeszcze więcej zajmującą. Słowa pochwały, jakie zewsząd otrzymujemy, są dla nas bodźcem do dalszej pracy. — **Karol Moskwa** w N.: Najlepszą przysługę oddaje nam ten, kto stara się o rozpowszechnianie „Roli". Dziękujemy. — **Stanisław Kamyk** w W.: Wierszyki otrzymaliśmy — pójdą. A że są „zbyt miłosne", jak Pan twierdzi, nic to nie szkodzi, gdyż niema nic milszego na świecie, jak miłość prawdziwa. A, niestety, tam jej dziś mało. Kochać, to znaczy żyć, a żyje tylko ten, kto kocha prawdziwie. — **Michał Kosacz** (Francja): Książki tej dostać nigdzie już nie można; wyczerpana. — **Andrzej Noworyta** w Czery: Niech Pan będzie cierpliwy; znajdziemy radę i na to niedbalstwo wójta i samowolę posłańca gminnego. Klucz od torby powinien mieć tylko urzędnik pocztowy i wójt. Skąd wziął klucz posłaniec, który po drodze torbę otwiera i wypożycza rzeczy tam dla kogo innego się znajdujące to będziemy się chcieli dowiedzieć. Takie reklamacje są nam potrzebne. Cześć!

Okładki na „Rolę" są gotowe i wszystkim, którzy nadeślą 2 zł. zaraz wyślemy. Okładki są bardzo ładne, z wybitym rokiem złoconym 1926/**1927** jak również ze złoconymi ornamentacjami.

Giełda płodów rolniczych
z dnia 10 czerwca b. r.

Pszenica	00·00—00·00	Słoma długa	5·00— 5·50
Żyto	53·00—54 00	Ziemniaki stoł.	12 00—14·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Krause Otton z W.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Dopływ Wisły.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Przyrząd do pisania.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zabawka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Afryce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miejsce klimatyczne.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Cesarz rzymski.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Roślina.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Przyrząd strażacki.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ludność jakiegoś kraju.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ogłoszenie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Wytworny gmach.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Starożytna broń.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.

Litery początkowe, czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko człowieka sławnego w historji.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Kulifon).

Pierwsze i drugie każdej nocy bywa,
Czy to pogoda czy słota straszliwa;
Profesor uczniom dobrze to już wiecie,
Po odpowiedzi pisze drugie, trzecie.
Całość wam drodzy sama wnet przyleci,
Gdyż tam jej dużo, gdzie analfabeci.
W całości ciężkie, marne ludzkie życie,
Uczcie się, to jej, do nas nie wpuścicie.

II.

(Ułożył Kulifon).

Pierwsze, pół drugiego, to pasterze mają,
A na pierwsze trzecie ciężary wkładają.
A trzecia i pierwsza zamieszkuje wody,
Drugie trzecie idą w las, w pola, w ogrody.
Całość król potężny, elekcją wybrany,
Co kilka lat rządził Polską, bez nagany.

III.

(Ułożył Władysław Grażyński z W.).

Pierwszą otrzymamy, gdy gotujemy,
Drugą mówimy, gdy milczeć każemy,
Trzecią z drugą w zaimkach znajdziecie,
Całość zaś jest to miasto na świecie.

5. Bilety wizytowe.

(Ułożył G. Wirstnik z Sz.).

I. K. Gdoron.

H. Amencik.

Z. Baźrizer.

Ant. Kuzym.

P. Forrose.

A. Tadkow.

Emin Ziain.

G. Zimersarzt.

Ed. Karrot.

Z liter zawartych w powyższych biletach wizytowych ułożyć właściwy zawód danego osobnika.

4. Przestawianka.

(Ułożył Mieczysław Woźniczka z T.).

bie, bie, bi, bo, cier, czło, i ka, ko, ło, w nie, pi, ro, sam, sam, sam, się, so, so, słu, ta, ta, wiek, wpla, za, ży.

Z powyższych zgłosek ułożyć „Złotą myśl", wypowiedzianą przez Adama Mickiewicza.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 26 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 23 „Roli": 1. Logogryf: Antoni St. Bassara — Feliks Kowalczyk. 2. Szarady: Paryż, Baranek, Pasieka. 3. Zagadka: Odpust-dopust. 4. Układanki: Zakaz, sos, sus, oko, bób, mam, zez, pop, potop, osa. „Kobyła ma mały bok".

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Jan Borkowski z D., Piotr Wenc z S., Wł. Sobol z P., Władysław Maniewski z D., Wawrzyniec Rzepka z O., Feliks Popielarczyk z W. D., Rudolf Kula z M. K., Jan Dubis z J., Gabrjel Wirstnik z Szcz., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Adolf Czader z S. W., Włodzimierz Szewczuk z J., Stanisław Nowak z K. (wierszem), Władysław Leżon z J., Czesław Kozłowski z W., Alojzy Cieślar z J., Józef Kajzer z G.

Nagrody wylosowali pp.: Feliks Popielarczyk z Woli Duchackiej i Józef Kapuściński z Lipinek.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu» w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Dowcip na dowcip.

Dwóch podpitych winem szwabów przechodzi granicę celną z Austrji do Niemiec. Każdy z nich wypił 3 butelki wina. »To musi przecież być oclone«, powiada Müller i podchodzi do urzędnika celnego ze swoim towarzyszem Mayerem.

— Mamy po trzy butelki wina do oclenia — mówią do celnika.

— Gdzie macie panowie to wino?

— W brzuchu — odpowiadają.

Celnik wciska mocniej okulary na nos, chwyta za książkę z taryfą i czyta:

— Wino w beczkach 20 marek; w butelkach 48 marek; wino zaś w oślich skórach wprowadzone — spogląda na obydwóch — wolne jest od cła; możecie więc panowie iść dalej.



Trafna odpowiedź.

Pewien żyd zabezpieczył dom swój od ognia. Gdy agent wręczył mu policę, pytał żyd:

— Ilebem też dostał, gdyby się moja chałupa jutro spaliła?

— Mniej więcej trzy lata kozy!

Dziadek: Słuchaj, smarkaczu, kto tutaj rządzi, ty, czy ja?

Wnuczek: Ani dziadzio, ani ja, tylko babcia!



Rozmowa chłopaków.

— Kuba! kciołbyś ty ostać cysorzem?

— Głupiś, cy co? Któzby nie kcioł?! — A tybyś kcioł?

— Jesceby tez.

— A cózbyś ty robieł, jakbyś ostał cysorzem?

— Cobyk miał robić? Nic? — Kase jaglanom byk se telko jod, i do góry bzuchem na kupie siana lezoł. A ty?

— Jo na to mówięcy tak, jak ty: nicbyk nie robieł, inobyk se z bata scyloł i zarbym same masło.

Filozof.

— Niedawno powiedział ksiądz probosz, że największym nieprzyjacielem ludzi jest wódka, a potem powiedział, że nieprzyjaciół mamy kochać. A więc dobrze, ja kocham bardzo wódkę!

Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli“ wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I-szego kwartału za 2 zł 60 gr.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie.
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

W Administracji „Roli“ są do nabycia niektóre numera „Roli“ z roku 1912, 1913 i 1914 nie tworzące całości rocznika, które się wysyła po nadesłaniu 15 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać w liście znaczkami pocztowymi.

Zawiadamiamy Sz. Czytelników, którzy mają z ich własnej winy numera „Roli“ poniszczone lub zagubione, że możemy im w miejsce takich przesłać nowe po nadesłaniu 25 groszy za egzemplarz i można przysyłać w listach znaczkami pocztowymi.

Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, któreby mogły „Rolę“ zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Kalendarze już wyczerpane!

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja": Nr... nie otrzymałem i swój adres.

Rozszerzajcie „Rolę"
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.

OKŁADKI NA „ROLĘ" twarde, mocne, gustownie wykonane z wybitym rokiem w cenie 2 zł. wraz z przesyłką pocztową wysyła Administracja „Roli". Wysyłka następować będzie partjami po 25 sztuk.

Przy przesyłaniu pieniędzy należy zaznaczyć na co są przeznaczone.